



Wacław Gąsiorowski.

---

---

OSTATNIE \_\_\_\_\_  
**ZDOBYCIE CZĘSTOCHOWY**

OPOWIEŚĆ HISTORYCZNA  
Z ROKU 1806. \_\_\_\_\_

(WEDŁUG POWIEŚCI  
„HURAGAN”).



Warszawa. \* Nakład Wł. Musielewicza. \*  
Druk „Gazety Rolniczej“, Ziota 24. \* 1903.





59660

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.  
Варшава, 15 Ноября 1902 года.

K-21/76/61991

Noc listopadowa otulała zwolna swym mglistym całunem mury Poznania. Miasto układało się do snu niespokojnego, gorączkowego, pełnego oczekiwania, mar słodkich i widzeń promiennych. Światła gasły powoli — cisza głęboka słała się dookoła wśród oddalonego gwaru i coraz rzadszych pokrzyków, dobywających się z oświetlonych jeszcze traktyerni. Naraz z oddali rozległ się przytłumiony dźwięk trąbki, a wślad za nim zadudniały kopyta...

Oddział kawaleryi wyciągniętym kłusem przebiegł przez rynek i znikł w oddali wśród ulic i domów.

Był to wywiadowczy szwadron pułkownika Deschampa, wyprawiony przez dowódcę przedniej straży francuskiej, generała Milhauda.



Dwaj kapitanowie dawnej legii włoskiej, Wosiński i Gotartowski, przydzieleni zostali jako przewodnicy i tłumacze.

Pułkownik Deschamp pędził jak wichher. Otulony rozłożystym płaszczem w nasuniętym na oczy kapeluszu, parł konia ostrogami naprzód, spoglądając niekiedy groźnie po za siebie, gdy konie, ciągnącego za nim szwadronu, zwalniały biegu. Czasem znów, dojrzawszy na skraju drogi chatę wieśniaczą, dworek szlachecki, pałac magnacki lub krzyżyk kościółka, osadzał raptownie konia i cedził przez zęby do jadącego tuż za nim Gotartowskiego:

— *Eh bien?!*

Wówczas Gotartowski spinał konia i wraz z Wosińskim i kilku strzelcami wysuwał się naprzód. Rozpatrywał drogę, zaglądał do chat lub wieśniaka między opłotkami zdybawszy, pytaniami zarzucał. Szwadron tymczasem włókl się stępa, czekając rychło pułkownik raportu nie wysłucha i palaszem nie skinie.

Na postojach a wypoczynkach pułkownik na wszystkie strony rozsylał wy-

wiady, w których Gotartowski z Wosińskim ciągle udział brali. Męczyło to młodych kapitanów. Pierwszego, bo od konia był odwykl, a Wosińskiego, bo takiej, jak mówił, piekielnej służby nigdy jeszcze nie odprawiał.

Już to Wosińskiemu w ogóle nie po myśli była ta droga, a może bardziej jeszcze pułkownik.

— Dziwna facyata!—mrucał do siebie kapitan. — Nasrożony ciągle, nade ty, ani doń przystępuj. Prawda, co ze mną nie bardzoby się dogadał, lecz przecież do Gotartowskiego, do swoich francuzów, mógłby się ze słowem pocziwem odezwać!...

Zaraz w pierwszym dniu ekspedycyi, Wosiński, chcąc dłużący mu się marsz skrócić gawędą, targnął uździennicą i podsunął się do jadącego przed nim Gotartowskiego.

— Mości Florjanie—ozwał się półgłosem.—Dalipan, ledwie się trzymam. Dziewięć lat na koniu nie siedziałem, a tu o lada wywczasie mowy nie ma!... Zrywaj się co chwila i na wyskoki leć, ni-



by na harce... Dobrze to, ale nie wciąż!... Łędzwie mi stężało, chyba nie wytrzymam!... A i szkapsko niby takie niepozorne, a rzuca mi się!... O!... jak to piszczy cudacznie... Musi i konie u francuzów po francusku rzą... Ale, gdzieżmy tak pędzimy do licha?!...

— Mamy dotrzeć do pikiet polskich!...

— Ba, więc idziemy na Łęczycę?...

— Gdzież tam!... Łęczycę zostawimy na boku, bo od Wrześni nie poszliśmy na Golin, lecz na Pyzdry!... Pułkownik pytał się już kilka razy o Prosnę... Może zatrzymamy się gdzie pod Kaliszem, a może i dalej jeszcze!...

— Hm!... Bardzo dobrze!... Tam, czy owdzie, wszystko jedno!... Ale, przecież nie jednego dnia!... I co ten borsuk siwy sobie myśli?... Nie wiem, o czym on tam z waszmością mówi przy raportach, lecz coś mi się widzi, że onej sławnej u francuzów dworskości ani krzty w nim nie dopatrzysz!...

— Stary to podobno żołnierz!...

— Niechże sobie ma z Bogiem dwie kopy lat!—zaperzył się Wosiński.—Mnie

co do niego!... Niechaj jeno obyczaju nabierze, a polskich oficerów za hetki nie ma!... Najęliśmy się, albo co?!...

Wosiński rzucił się podniecony na siodle. W tejże chwili adjutant francuz, jadący za Floryanem, szepnął półgłosem:

— Panowie! Radzę nie rozmawiać!... Bo ~~sz~~ „biały“ ogromnie się o to gniewa!...

Wosiński chciał zapytać się Gotartowskiego, co był do niego mówił oficer francuski, gdy nagle głowa sunącego przodem pułkownika odwróciła się, a z ust jego wyszedł krótki rozkaz:

— *Silence!*...

— Co on mówi?—szepnął Wosiński.

— Żeby milczeć!...

— A bodaj go pokurczyło!... Zatracony jakiś *Kolonel!* — bąknął pod nosem kapitan i pogrążył się w zadumie.

Nieukontentowanie Wosińskiego wzrastało coraz bardziej, bo też Deschamp istotnie zatraconym był pułkownikiem!... Zamknięty w sobie, zasępiony wiecznie, nawet na postojach nie dopuszczał do siebie. Głuchym był na wszelkie objawy



radości szczerzej, jakiej francuzom na każdym kroku nie szczędzono. Odmawiał opryskliwie najserdecznieszym zaproszeniom szlachty, zdobywając się zaledwie na lakoniczne „kiedyindziej!“

Jedynym przedmiotem, który ożywiał pergaminową twarz pułkownika, byli prusacy. Każda najdrobniejsza o nich wiadomość wyprowadzała go z apatycznego odretwienia, a w małych ciemnych oczach skry nieciła.

W chwili wolnej, na popasie, rozkładał mapy i kreślił na niej punkty, a stawał znaki lub długie wypisywał dla kuryerów raporty.

Żołnierzy swoich znał, a przenikał nawskroś. Jeden rzut oka wystarczał mu dla wykrycia najmniejszego uchyczenia. Mundur nieoczyszczony, popręg niedociągnięty, pas bez połysku, naderwany guzik nie uszedł nigdy jego uwagi.

Uśmiech nie istniał dla twarzy Deschampa. W chwilach dobrego humoru, a te rzadkim bywały zjawiskiem, krzaczaste, siwe brwi zsuwały się bliżej pod okrytem zmarszczkami czołem, powieki

drgały mu zlekka, a z ust dobywało się krótkie, urywane parskanie.

Strzelcy każdy ruch, każde skinienie swego pułkownika rozumieli, a jego mała skurczona twarz była dla nich wielką księgą, w której wypisanem było usposobienie, zamiary, a niekiedy i rozkazy Deschampa. A więc mówiono w szeregach między sobą:

— Jakże tam „biały...“?

— Parska!...

— Patrzaj!... Kapral mówił, że mu szczeka lata!...

— Et! Chciał ciebie nastraszyć!...

Albo znów strzelec, powróciwszy szczęśliwie z ważną wiadomością od generała, chwalił się przed towarzyszem:

— Oddałem papiery i stoję wyciągnięty, czekając rozkazu. „Biały“ rozerwał kopertę, rzucił okiem na mnie i parsknął, a potem rękę mi położył na ramieniu i psyknął...

— Psyknął?—Powiadasz!...

— Niech mnie pierwsza kula nie minie, jeżeli zelga!...

— No, no!... Szewron pewny!...



Im dłużej Gotartowski przebywał z Deschampem, tem on większy w nim podziw budził. Floryan napatrzył się już rozmaitym oficerom legii, lecz takiego jeszcze nie oglądał. Nadomiar adjutant Levitoux i porucznik Martin, wesoly a dowcipny francuz, niestworzone rzeczy prawili Floryanowi o „białym.“ Jako był służbę zaczął od prostego żołnierza, a pierwszy stopień oficerski otrzymał wraz z pięciu ranami pod Arcole; jako ciało pułkownika jest tak gęsto podziurawione kulami, że kule przezeń niby przez rzeszoto przelatują, żadnej mu już krzywdy nie mogą wyrządzić. Dalej, że tenże Deschamp był niegdyś w całej armii włoskiej gadulą, ale od czasu powrotu z Egiptu zaniemował prawie. Że przyczyną tego zasklepienia się a zdziwienia była dotąd trawiąca go boleść po stracie ukochanej arabki, którą był poznał w Kairze. Arabka ta była córką bogatego szejka. Deschampa pokochała całym sercem. Ojciec, udający przyjaźń dla armii Bonapartego, dał napozór swoje przyzwolenie i błogosławieństwo. Lecz

w następstwie, w noc pamiętnego powstania muzułmanów, nasłał na Deschampa siepaczy. Arabka, ostrzeżona w ostatniej chwili o niebezpieczeństwie grożącym ukochanemu, bez wahania pośpieszyła doń z wiadomością. Miłość arabki ocaliła życie nietylko pułkownikowi, lecz i całą armię postawiła w porę jeszcze na nogi. Powstanie zostało stłumionem, Szeik ukrył się. A gdy wieść o nim zaginęła, a arabka lada dzień miała zostać żoną giaura, mściwy ojciec zakradł się do schronienia córki i udusił ją. Deschamp wpadł wówczas w głuchą rozpacz, która w noc jedną siwizną go okryła, a twarz młodą zorała zmarszczkami. Dwakroć pułkownik targał się podobno na własne życie, lecz zdołano temu przeszkodzić. Dzisiaj szuka najwidoczniej śmierci, bo za lada potyczką rzuca się pierwszy na nieprzyjaciela, nie zważając nigdy na liczebną jego przewagę. Przewisko „biały“ dostało mu się dla tego, iż jest on tylko białym, do starości bowiem jeszcze mu daleko.

Surowość i odwaga pułkownika były



słynne w wojsku Napoleona, a zdolności wysoko cenione przez marszałków. Po wierzano mu zazwyczaj najtrudniejsze do spełnienia misye. Przednia straż była zwykłym jego udziałem. Deschamp potrafił dotrzeć bodaj do samego środka armii nieprzyjacielskiej, a co ważniejsze, wyjść z niego cało. Służba pod nim była niekiedy męczarnią, lecz dawała szerokie pole do odznaczeń, pułkownik bowiem dbał o swoich podwładnych i gdy szło o nagrody, gotów był zawsze wprost samego marszałka Davoust atakować. Marszałek zawsze czynił zadość przedstawieniom pułkownika, pokładając w nim ufność bezgraniczną. W korpusie Davoust wyrażenie „pójść pod Deschampa“ — równoznacznyło bądź wyjątkowej odwadze szukającego karyery żołnierza—bądź karze dyscyplinarnej, o ile żołnierz szedł pod „białego“ z rozkazu.

Szwadron Deschampa posuwał się szybko naprzód, śledził, badał, zasięgał języka, lecz do prusaków dotrzeć nie mógł. Prusacy, o których mówili mieszkańcy wiosek, osad i miasteczek, jako

o czemś, co było wczoraj jeszcze, przed godziną może, co jest tuż, zaraz, o staję drogi, rozplywali się przed podjazdem, niby sine mgły horyzontów. Niekiedy oddział napotykał w miasteczkach opustoszałe kordegardy pruskie, wyludnione koszary, opróżnione stajnie, a nieuprzątnięte magazyny. Zdawało się, iż wojsko nieprzyjacielskie na chwilową ruszyło wycieczkę, bo i łóżka w izbach oficerskich znajdowano nietknięte i beczki z prochem, i ładunki, i siano w drabinach, i owies w żłobach.

Deschamp niecierpliwił się, szczęka dolna latała mu coraz gwałtowniej... Strzelcy drżeli.

Pułkownik czuł, że przed nim mający się nieprzyjaciel, że depcze jego ślady, że wrywa mu się z pod nóg prawie — a mimo to — dosięgnąć go nie może.

Czasem wysyłane naprzód rekonensanse, myszkując polami, wyciągały ze stogów maruderów pruskich, lub, idąc za wskazówką kmieci, w opuszczonych komorach lub zapadłych na wpół sklepach,



znajdywali wylękłych piechurów. Jeńców prowadzono Deschampowi, ten brał ich na spytki, groził śmiercią, batogów nie szczędził; — wybladli, jako ich pomadowane harcapy, prusacy powtarzali uporczywie—wojska ciągną na południe, muszą być tuż-prawie!

Po każdej takiej odpowiedzi, Deschamp nakazywał trąbić wsiadanego i pędził dalej na nieprzyjaciół, aby na pierwszym popasie znów tę samą usłyszeć wiadomość — „muszą być... tuż prawie!“

Lecz trudno zaiste było sprostać prusakom w ich gwałtownym, błyskawicznym pochodzie... To nie był odwrót, nie wsteczne marsze mających się skupić drobnych oddziałów, lecz coś, czego żaden wódz, żaden sztab, żaden najgenjalniej opracowany plan przewidzieć nie jest zdolen. Fala złowrogich wieści zerwała się z ponad pobojuwisk Jeny i Auerstaedu i pogrążyła wszystko to, co niedawno brzmiało butą a samochwalstwem. Prusacy uciekali przed siebie, na oślep, bez ładu, z widmem bezbrzeżnego prze-

rażenia przed oczyma, z dźwiękiem straszliwym — Bonaparte! — w uszach. Uciekali, nie bacząc, że pędzą ku granicom obcych mocarstw, mogących na skinienie polityki przywitać ich rotowym ogniem! Uciekali z bronią w ręku, lecz gotowi ją każdej chwili rzucić pod stopy zwycięzcy i ukorzyć się bez oporu, bez utarczki, bez walki.

Żołnierze Fryderyka! Chłop w chłopu na schwał, dobrani wzrostem, jednako paśni, jednako muskularni, jednako tędzy w piersiach, rozłożyłsi w plecach, a jednako w mustrze a ćwiczeniach sprawni.

Myślałbyś, taki jeden łeb twardy a kark bawoli niby taran mury walić będzie, a najmocniejsze rozbijać zapory! Co tu odwaga, co duch, co oręż, co geniuszu przewód mógł znaczyć... gdy oto żołdak taki stanął, ciężkie stopy rozkraczył, a zaparł się w ziemię!...

Król Fryderyk bo lada kogo „w kamazie“ nie brał. Gdy brandeburgskich a pomorskich nie starczało drągałów, to bodaj sasów chwycić, szwedów przynajęć, opornych łuzan zniewolić, szlązaków



przybrać, a z nad Warty i Wisły rekruta napędzić, byle mu żołnierz pasował do mundura, pałasz do pięści, a karabin do nogi.

Żołnierz taki gdy szedł, ziemia pod nim jęczała, gdy dobył głosu, rzekłbyś wichru złowrogiego poszum, a gdy się zamierzył, to zdawało się, iż miażdżyć będzie! A taka bila odeń siła, taka tęgość, taka z oczu zapamiętałość, a z mi-ny cholera, że od jednego ich widoku ludek polski się zegnał, giał się w pałak.

I tacy to właśnie uciekali, nie bacząc na tradycje armii Wielkiego Fryderyka, nie zważając, iż kraj cały oddają na łaskę nieprzyjaciół, a hańbą okrywają się wieczną. Nigdy może zajęcze serca, tchórzostwo a samolubstwo nie miały tak zuchwałych pozorów mocy i odwagi. Prusak przypominał pędzącego na oślep byka, który, nie pomny na swą siłę, ucieka wystraszony warknięciem polowego brytana. Na myśl mu nawet nie przychodziło, jak się ma bronić, jak opór stawić zalewowi, jak osłaniać ogniska domowe, jak życie nieść ojczyźnie w ofie-

rze, jak ginąć hardo! Całą natomiast inteligencyę, całą sprężystość obfitych mięśni obracał na zjednanie sobie sprzymierzeńca, obrońcy, i na ten bezprzykładny odwrót z pola bitwy. Prusak umiał politykować, umiał i po rozżarzone węgle sięgać cudzemi rękoma, potrafił bezbronnej ludności wdrażać wysokie wyobrażenia o swojej odwadze a potędze, zawsze z każdej skorzystał okazji, byle choćby ochlap wyżebrać i podsunąć się w porę tam, gdzie czujność Europy była odwróconą, gdzie coś pochwytać można było bezkarnie.

Jał głos podnosić, z sojuszem się napraszać, a w końcu wyciągnął ku Bonapartemu pięście. Słabe, choć otyłe, piskłe krzyżackie, zagroziło Tytanowi. Pigmej chciał się potykać z geniuszem. Mieszczuchowi przyśniły się wawrzyny. Tam, gdzie rozlegały się od lat dziesięciu surmy bojowe, gdzie rodzili się, żyli i umierali bohaterowie, tam wybrał się ciura, sądząc może, iż godzina zbierania łupów nadeszła, iż oślepiiony blaskiem swej chwały Holofernes stracił już moc swoją!...





Nie spodziewali się, że potęga Napoleona jeszcze nie stanęła u szczytu, że i w mury Berlina wjeżdżać będzie i Wiedeń po raz wtóry odwiedzi.

Prusakom się śniło. Przebudzenie było dla nich okropnem, rzeczywistość zgasła w nich wiarę w siebie... uciekali coraz szybciej, coraz gwałtowniej, aż na granicę rosyjskich placówek.

Od zachodu tymczasem ciągnęła armia zwycięska podzielona na siedm kolumn, ogarniając całą monarchię pruską od Bałtyku aż po granice Austrii. Siedm kolumn, a na ich czele siedm pochodni, siedmiu lwów, siedm gwiazd z konstelacyi Bonapartego, siedmiu wyrosłych niby z pod ziemi imion nieśmiertelnych, które brzmiały krótko, wymownie: Ney, Soult, Davoust, Lannes, Murat, Bernadotte, Augereau.

Każdy z nich był innym, lecz wszyscy byli jednakowi... Murat wyświeżony elegant, zalotnik wyrafinowany, strojący się, świecący, szeleszczący jedwabiami, wysznurowany, wiecznie troszczący się o zaochrąglenie różowanych paznogi, delika-

tność cery, białość żabotu, układ piór strusich na kapeluszu; Ney, huzar dawny, rozrzucony, rozhukany, rubaszny, lubiący wspominać o swem arystokratycznym, szlacheckiem pochodzeniu;—Soult, o twarzy biurokraty, z uczesania muzyk, z pochodzenia syn palestranta, przebiegły, wyrachowany, zasklepiony w sobie;—Davoust dumny a nieugięty, gwiazda, która świeciła niepewnie, bo ją gasił blask meteoru;—Augereau, syn przekupki, gadliwy, a przebiegły, chytry, równie odważny jak przewrotny, pyszny niby paw;—Bernadotte, dziecię rewolucyi, syn mocy a zakusów najśmielszych, nieubłagany w zamysłach, a pnący się po stosach ciał ludzkich aż do korony;—Lannes, prawość duszy, otwartość serca, zresztą chłopiec stajenny, farbiarz i komunista...

A wszyscy? Wszystkich zrodziła chwila, geniusz, który zaćmiewał talenty, ale je i dobywał i budził do koła! Więc Murat miał Rivoli, Veltline, Albano, Castello; Lossel nad Jordanem, Abukir w Egipcie, rozpędzenie rady pięciuset w zamachu stanu i miał w sobie coś



z nawałnicy szaleństwa; Ney był to lew, z pod Neuwied, Diersdorf, Hochenlinden, Elchingen i Ulmu; Soult to Memmingen, Austerlitz... Jena; Davoust, towarzysz Bonapartego, generał już za Dyrektoryatu... bohater z pod Auerstaedt, niecierpiący przez Bessièresa i Berthiera, zapoznany, pomijany w zaszczytach, był ową siłą, która życie całe walczyć musi z niechęcią ludzką, z przeciwnościami, a gdy nieomal wszystkie usunie zapory, słabnie, uchyla się, łamie, ginie; Augereau, żołnierz starego Clarka i zgilotynowanego króla. Jeżeli Ney w bitwie był lwem, Augereau był panterą. Pierwszy parł naprzód, żeby zwyciężyć, drugi zwycięwszy, jeszcze krwią musiał się nasycić. Bernadotte dziewięć lat był żołnierzem zanim został sierżantem, a dalej tylko cztery lata czekał na dowództwo dywizyjną, w dziesięć miał już buławę marszałkowską i książęcą mitrę, a stała jeszcze przed nim purpura i tron szwedzki! A Lannes? Lannes w dwudziestym drugim roku był porucznikiem... nazajutrz po nominacji kapitanem, a w trzy miesiące

z kapitana generałem... I potem znów prostym żołnierzem i wodzem, i bohaterem, i chwałą armii, i dumą narodu, i nieśmiertelnym.

Lecz nie tych siedmiu tylko mężów przewodziło. Napoleon miał jeszcze wiernego Lefevra, sprytnego Berthiera, prawego Monceya, niezmordowanego Massenę, Brunea głębokiego polityka, nieodstępного Mortiera, w Bessièresie przyjaciela, w Durocu brata. Stali nadto około niego i Kellermann alzatzczyk i Pérignon odstępcą, stary Sérurier, Pérrin lotaryńczyk, Macdonald szkot, Oudinot, Marmont i Suchet, Gouvion i młody Clark, Lauriston i Maison, Gérard i Molitor, Clausel i Mouton, Grouchy i Junot i Jourdan.

Bernadotte, Brune, Kellermann, Massena, Lefebre, Perignon, Sérurier, Junot, Moncey, Jourdan, Augereau i Davoust byli dziećmi pierwszej rzeczypospolitej, pamiętali Klebera, Pichegru, Hocha i Lafayettea.

Murat, Berthier, Soult, Ney, Lannes, Bessières, Mortier, to wojownicy z nad



Nilu, Po, z pod Lodi, Roveredo, Arcole, Mantui, Embabeh, Abukir, Jaffy, Tabor i Marengo; tam narodziły się ich imiona, tam chrzest krwawy przyjmowali na wielką drogę sławy. A inni—inni mieli czekać jeszcze na Eylau, Friedland, Wagram, Saragosę, Somo-Sierę, Smoleńsk, Borodino, Berezynę, Lützen, Lipsk aż do Ligny i Waterloo. A po nad tymi mężami z prochu, krwi a spżu, wznosiła się szlachetna postać Beauharnaigo, pasierba cesarza francuzów, a czynów i dzielności jego prawego syna.

Za tymi dopiero wodzami szła armia napoleońska. Armia złożona z żołnierzy wątych, drobnych, słabych, niedobrych napozór, spowitych szaremi płaszczami. Jedna gwardya lśniła barwnością mundurów, wdrażała uszanowanie marsem okrytych bliznami twarzy, wystających z pod wysokich bermyc i wystrzelistych kit. Jazda jeszcze budziła uszanowanie i dla hełmów kirasyerskich i wyniosłych czap dragonskich i strzeleckich, lecz piechota... ta niezrównana piechota francuska, wobec pruskiej,

wyglądała na gromadę zebranej na gwałt landwery, tłum wyciągnięty na plac boju przymusem pospolitego ruszenia. Te pułki fizylierów a wołtyzerów, ta poczerniała od prochu i dymu artylerya, te oddziały pontonierów i saperów i niezliczone kolumny mrowia liniowego, ta zbierająca różnojęzyczna, nasuwała pytanie,—cóż bo ta czerń znaczyć mogła, obok jaskrawych mameluków, czerwonych holendrów, niebieskich grenadyerów, tęgich bawarczyków,—co wogóle robiła wśród wielkiej armii?!... Jaką rolę odgrywać mogły te szare, jednostajne kolumny o szeregach przepelnionych zniedołężnialemi starcami, wyrostkami, dziećmi? Co w bojach z zahartowanym żołnierzem Austrii, Prus i Rosyi stanowiły?

Dziwną była ta piechota liniowa. Szła wyczerpana pochodami za dźwiękami bębnow i trąbek, na których częstokroć grali dwunastoletni chłopcy, szła w bezładnej czasem rozsypce, niby zdemoralizowane niedobitki, resztki pogromu, szła głodna i odarta i bosa. Tak mijały tygodnie i miesiące. Aż naraz



u czoła jej zjawiał się ordynans, adjutant z rozkazem. Następowała komenda, krótka, ucinkowa, gwałtowna. Kolumna się zwierala z szybkością błyskawicy, zgarbione postacie żołnierzy przężyły się, rosły, potężniały... Jeszcze chwila, a mur tysiąca ludzi ruszał na nieprzyjaciół, gniótł, tratował, wpijał się, targał szyki bojowe, padał, trupem ślą pola, miazgą własnych ciał torował drogę do sławy, do potęgi, do tronu... jemu. On był duszą ich duszy, sercem ich serc. Dla niego umierano z pieśnią na ustach, z wesolym okrzykiem.

Umrzeć na polu bitwy — znaczyło spełnić obowiązek. Zobaczyć cesarza, to dostąpić szczęścia; — być przezeń zapytanym, to okryć się sławą; zasłużyć na jego pochwałę — to nagroda, to dumę całych familij, pokolenia chluba, to i najwyższe odznaczenie i chrzest rycerski i narodziny wielkiego rodu.

Piechota liniowa!

Armaty znak dają. Czworoboki szare drgnęły i rozpoczęły pochód. Idą w dal spowitą w dymy armatnie, idą

śród gradu kul, idą bez wahania, idą, aby utonąć w morzu ognia, lesie najeżonych bagnatów, wzniesionych szabel... idą pewni, że ostać się nie mogą przedwadze, idą po nieśmiertelność.

Gwardya za nimi rozstrzygać będzie losy bitwy, wojny, narodu całego, wpadnie jak grom, jak burza, jak piorun, zmiażdży, skończy rozpoczęte dzieło, pieczęć swoją przyłoży...

Obrona pozycji.

Rozkaz lakoniczny: „bronić.“ Na małym wzgórzu, wśród rozległej równiny, stoi dywizya piechoty, niby czarna plama na śniegiem zaścielonej przestrzeni, stoi obojętna, zimna, skamieniała, wrosła w ziemię. Naraz sto światelek zabłysło pod lasem, sto kul wyrwało się z rozwartych paszcz, sto obłoczków zawisło w powietrzu, sto dział ryknęło, sto pocisków spadło na czworobok. Dywizya stoi niewzruszenie z bronią do nogi — rozkaz jasny.

I płynie żelazo i ogień i krew, granaty wyszarpują szeregi, kartacze rozpryskują mózgi, kule przeszywają piersi, urywają nogi i ręce, zamieniają ludzi



w drgające kadłuby... Ziemia drży — ludzie stoją.

Czworobok kurczy się, skupia, lecz nie ustępuje.

Dywizya śnać osłabiona dostatecznie, bo armaty ucichły, a ziemia już dudnić zaczyna pod nogami kawaleryi pędzącej na wzgórze. Piechota chwyta za karabiny i pluje ogniem, składając się na jeden huk gromki, równy, niby uderzenie młota. Poczem ziele już dymem i żelazem mierząc celnie, na sekundę, nie chybiąc komendy, jakby tuż, przed nią nie błyszczały ani pochylone lance, ani końce dragońskich płaszczy.

Już pierwsze szeregi konnicy starły się z piechotą, już spiętrzyły się konie, pierś zwarła się z pierśią, stalowe żądła proporców już się czerwienią. Kotłują się ciała, szczęk oręża i zgrzyt zlewa się z chrapaniem koni, okrzykami ludzi...

Konnica się chwieje i zdziesiątkowana, rozproszona, cofa się... aby za chwilę do nowego przystąpić ataku...

Dywizya traci dowódcę, komenda przechodzi na pułkownika, od pułkownika

na kapitana, dalej na porucznika, sierżanta... Ataki następują jeden za drugim. Fala nieprzyjaciół wzrasta. Coraz to inne pulki przybywają. A pomoc nie nadchodzi... Czworobok piechoty w oczach niknie: z tysięcy zamienia się w setki, w dziesiątki... garść zostaje ze sztandarem i kapralem... Otoczona ze wszech stron, gnieciona stosem ciał, z pustemi ładownicami, potrzaskanemi bagnetami... jeszcze walczy...

Orzeł cesarski zachwiał się. Ostatni jego obrońca pada, tuląc go do rozwartej cięciem pałasza piersi...

Deschamps posuwał się szybko. Minał Pyzdry, Ciemierów, Giżalki, wytchnął w Choczcu, nad Prosną, i ztąd już przez Stawiszyn, Janków i Koźminek, omijając Kalisz, parł z podjazdem przez Błaszki, Złoczew, Wieluń, Działoszyn do Krzepic. Zjawienie się w tych stronach oddziału Deschamps'a wywierało skutek niespodziewany. Oto ledwie biały pułkownik ukazał się ze swoim szwadronem, gdzie na drodze, wnet okolica dotąd spokojna, wpół-senna, odrętwiała, ożywiła się, budziła.



Zanim strzelcy minąć zdążyli osadę, miasteczko, już serca mieszkańców bić zaczęły, już ten i ów zaglądał do lamy, kędy był broń przechowywał... Zanim Deschamps dosięgnął drugiego postoju, już na pierwszym skupiała się młodzież, zbierała w oddziały pod okiem dawnych oficerów gwardyi narodowej i słała gońce a posły dookoła. Jeszcze wici wojewody Radziwińskiego, a odezwy Wybickiego i Dąbrowskiego się nie rozeszły, gdy już generał Skórczewski opanował Kalisz i, ku Wrocławowi się zwróciwszy, siła tulającego się żoldactwa pruskiego pochwycił. Sieradz atoli uprzedził wszystkich. Pierwszy z własnego natchnienia ustanowił podatek krwi, po żołnierzu uzbrojonym i umundurowanym z każdego dwudziestu dymów, zanim jeszcze umocowany przez Dąbrowskiego Kacper Miaskowski zdążył wyruszyć z Poznania. Łęczyca zaś już wrzała i gotowała się do zniesienia obwarowywujących się prusaków.

Oddział Deschamps'a sunął wciąż ku południowi, mając rozkaz wyraźny do-

trzeć do straży pruskich. Ba — kiedy straży tej znaleźć nie można było. Pułkownik ciągle był niby na tropie i ciągle, mimo wysiłków, nie mógł dosięgnąć nieprzyjaciela. Na tej pogoni gwałtownej zeszła mu droga aż do Krzepic. Deschamps wpadł we wściekłość, — wszystkie rachuby, wszystkie wiadomości najwidoczniej go zawiodły, — zbliżał się już, stał prawie nad samą granicą austryacką — a prusaków nie było. Nie mniej od Deschamps'a był zirytowanym kapitan Wosiński. Odbiegł go i humor i dawna swoboda. Klął z cicha, zęby zaciskał, a nawet rozmowy z Floryanem unikał. Coprawda i ten ostatni dziwnie sposepniał. Czy to powietrze wilgotne, przejmujące, dżdżyste, czy ponure, zachmurzone niebo, czy noce długie i ciemne, czy w końcu, ta pogoń bezowocna, gorączkowa, sprawiły, dość, że cały szwadron stracił na fantazyi... Tak, że gdy mieszkańcy Krzepic zaprzysięgali się, że piechota pruska stoi o szesnaście wiorst pod Kłobuckiem, nikt na to uwagi nie zwrócił... Ot, codzień inne wskazywano im wsie a miasteczka, co



dzień strzelcy mieli nadzieję trafienia choć na placówkę pruską i codzień spotykał ich zawód. Konie mordowały się, chudły, mimo obfitych racyj obroku, a żołnierz kiwając się na siodle, biegł myślą ku rodzinnym stronom i wyrzekał na rozpoczynający się ziąb, na psią służbę, na bezowocny pościg.

W Kłobucku znów zwiastowano Deschampsowi nowinę, że oddział prusaków broni Częstochowy. Deschamps ręką machnął. Szczęka drgać mu zaczęła. Jeszcze jedna bajka, jeszcze jedna fatamorgana, która póty ludzić go będzie, póki w Częstochowie nie zaczną się zaprzy sięgać, iż prusaków widziano o dwie mile na wschód lub zachód. Szwadron wypoczął w Kłobucku i o zmierzchu ruszył dalej lekkim truchtem ku Częstochowie. Floryan z Wosińskim jęli pełnić swą zwykłą służbę rekonesansową, wyprzedzając co chwila oddział i badając kmiotków... Ujechano tak milę blisko i, o dziwo, wieść o prusakach nie słabła, lecz rosła w szczegóły.

Częstochowy bronił generał Wagen-

feld z pięciuset piechoty i dwudziestu armatami, mając nadto około tysiąca zbiegów pruskich, zdolnych do niesienia pomocy.

Deschamps zamyślił się i niespodziewanie złożył radę, do której wezwał porucznika Martina, kapitana Douharai, adjutanta Levitoux i Floryana. Rada zebrała się konno przed frontem szwadronu. W kilku słowach uchwalono rozdzielić się na kompanje i podsunąć się do samej Częstochowy.

Wosiński, dowiedziawszy się o tem postanowieniu, a urażony już, iż go w radzie pominięto, wpadł w pasyę.

— Tchórze, niedołęgi! — krzyczał w uniesieniu. — Ot i ruszyli conceptem!... Bodaj ich i tych francuzów!... Wielkie głowy!...

— Co waćpan?... Dla czego?!...

— Pytasz jeszcze. A przecież to chyba jasne!... Gnaj, pędź sześć dni blisko, morduj się, męcz, ciało sobie obtłukuj, byleś się prusaków dopytał... a gdyś narzecie poczuł pod nosem zapach świeżyzny, a prochu powąchać ci wolno, to się dziel, podłaż na palcach i zmiataj!...



— Jakże chcecie! — tłumaczył Gotartowski. — Toć przecie podjazd, straż przednia, wywiadowcza służba, sto pięćdziesiąt koni... a tam warownia, mury, wały, które szwedzkim zastępom stawily czoło...

— To i co?! — oburknał się Wosiński, nie zbity z pantalyku.

— Waszmość pytasz się jeszcze!... Cóż my począć możemy wobec takiej przewagi?!... Oni mogą nie tylko bronić się, ale i nas zgnieść. Jakież ztąd dla armii pożytek?...

Więc opanowanie Częstochowy za nic macie?...

— Człowieku!... Nie unoś-że się... wszak ci to mury, armaty, wspomnij, powtarzam, na szwedów... Bacz, jaka garstka, jakim oparła się zastępom!...

— Taak!... Lecz rachuj-no wasze, że to nie rycerstwo, nie męstwo, nie determinacya a nie dzielność oręża sprawiła, tylko owo orędownictwo naszej Bożej Rodzicielki!... A chyba nie takim jesteś heretykiem, abyś supponował, że Nasza Pnienka z prusakami wdawać się będzie i luterskie ochraniać bezeczeństwa!...

— Zgoda!... Czegóż waść żadasz?!...

— Czego żadam?!... Mięsa pruskiego, bitwy, walki!... Żołnierzem jestem, a nie psem gończym!... Waszmości może po myśli są te prześpiegi!... Tfy!... Do djaszka!... Dać mi tu tych francuzów... a psia noga!... Bodaj was!...

Wosiński urwał nagle, gdyż tuż przed nim stanął pułkownik.

— O co idzie? — zagadnął Gotartowskiego.

Floryan się zawahał, lecz Wosiński odgadując pytanie — ozwał się żywo:

— A powiedz-że mu!... Właśnie niech wie!...

— Kapitan Wosiński — objaśnił Gotartowski — proponuje zdobycie Częstochowy!...

— Zdobycie?!... Oszalał — mruknał przez zęby Deschamps, mierząc Wosińskiego wzrokiem. — Powiedz mu pan, że bez jego rady się obejdziemy!...

A po chwili dodał, niby mówiąc do siebie:

— W sto pięćdziesiąt koni... myśleć o fortecy!... Ładny oficer!...



Gotartowski chciał coś odpowiedzieć na usprawiedliwienie Wosińskiego, lecz biały pułkownik wzruszył pogardliwie ramionami i zawrócił na czoło szwadronu.

Wosiński wymiarkował odezwanie się Deschamps'a i naraz w dawnym żołnierzu gwardyi narodowej krew zawrzała.

— Mości Gotartowski, cóż bo sobie taki myśli!... Za hetkę, mnie uważa!... Grymasy pokazuje!... Najmitą jestem, czy żakiem?!...

— Cóż znowu!... Waszeć się unosi niepotrzebnie!... Ot plan mu się nie wydał i wszystko. I dziwić mu się nie należy, bo, jak Waćpanu wiadomo, rekonesansowi—nie wolno wdawać się w zdobywania... jeno wywiadowczą służbę...

— Gadaj wasze zdrów! — przerwał ostro Wosiński. — Nowicyuszem jestem do pioruna?... Nie wachałem to prochu, pierwszy raz w rekonesansie chodzę!... Powiedz raczej, że Piotra ten biały królik ma pod skórą a duszę na ramieniu!... Hycać po polach, po drogach, węszyć... to jego rzeciosło!... *En avant i en avant!*—

krzyczy po całych dniach, myślałbys, że gdy nieprzyjaciela dopadnie to go znieśie, rozbije, że siedzie mu na karku, iż aż za stepy przepędzi... a tymczasem, gdy się nareszcie prusaków dopytał... radę ci zwołuje... Tfy!... Masz ci służbę u francuza!... Już od tego ich charkotania aż w uszach kręci!... Nie na tom się do Napoleona iść deklarował, aby plecy prusakom oglądać, takiego niepolitycznego widoku spragnionym nie był!...

— No, no!... Mości Wosiński!—upominał Floryan—cierpliwości trochę, skończy się to wkrótce!...

— Tak, tak skończy! — podchwycił przedrzeźniając Wosiński. — Waszmość to ani odrobiny krwi w sobie nie masz. Aż mi dziw, boś przecie z legionami nie po mrozie chodził, lecz po ciepłych krajach!... Wszystko, waszmość polkniesz. Et, bodaj mnie, że jak mi jeszcze doku czy to jadę... jadę panie, gromadę zbieram i wam dopiero pokażę...

— Dla Boga, co waszmość zamysłasz?!... Toć z tego kompromitacya dla naszego generała, dla nas wszystkich!...



General nam zawierzył, tyle ważną zaszczycił misyą...

— Piękna misya!... Mam dwóch gońcych: Słowika i Ciawkę, akurat byłyby w sam raz dla „*mosje Kolonela!*“ Już muszę się waszmości przyznać, że zgoła inaczej wyobrażałem sobie tego Napoljona... Idzie taka armia, to łomocze z góry, prze nieprzyjaciela... zagarnia... ale...

Gotartowski się uśmiechnął:

— Doczekasz się wasze i tego może widoku!...

— Nie wiem!... Bo zapowiadam waszmości raz jeszcze, że mam dosyć i tej jazdy po polach bez celu i tego munduru francuskiego i kaszkietu... Nie potom się do Bonapartego przedzierał, aby w jakimś numerze chodzić... i w takiej jeszcze trzynastce!... Wasze śmiejesz się ze mnie!...

— Ani mi w głowie!... Jeno dziwno, że waćpan poczytujesz to sobie za despekt!... Toć trzynasty pułk strzelców, do którego my należymy, to chluba armii francuskiej!...

— Niech sobie będzie chluba, a co

do piątku i trzynastki, nigdy przekonania nie miałem!... Feralny pułk i basta!..

Wosiński chciał dłużej jeszcze bidać nad swoim losem, lecz dano sygnał do wymarszu. Deschamps podzielił swój szwadron na cztery kompanie. Dowództwo pierwszej sam objął, a trzy pozostałe miały iść pod przewodem Floryana, Douharai i Levitoux. Wosiński miał towarzyszyć pułkownikowi, dwóm francuskim oficerom przydano na przewodników dwóch wyrostków, wyciągniętych ze wsi i wsadzonych na konie. Manewr polegał na tem, że kompanie miały się zbliżyć aż pod Grabówkę, o cztery wiorsty od Częstochowy, i ztąd rozejść się, obchodząc zdaleka placówki pruskie i, stosownie do poszczególnych dyspozycyj, na Stradom, Bleszno, Wrzosowę lub Wyczerpy, Siedlec, Matusze wielkie i Turów, połączyć się znów w Olsztynie, gdzie, po zebraniu wiadomości, oddział będzie mógł ruszyć dalej. Kapitan Wosiński, dowiedziawszy się, iż ma poleczone iść w kompanii Deschamps'a, nie mógł się pohamować i ozwał się do Floryana:



— Co?!... Ja mam iść z tym borsukiem?... No, niech sobie tą uciechę wy-perswaduje, ani... mi się śni!... Jadę sobie i...

— *Monsieur capitaine Woszynsky!* — rozległ się równocześnie głos pułkownika na przedzie szwadronu.

Wosiński drgnął, przeniknięty wskroś ostrym, nie znoszącym oporu, rozkazem Deschamps'a, zaciął zęby i, spiąwszy konia, w długich susach wysunął się na front oddziału.

Noc zapadła ponura i ciemna. Szwadron posuwał się powoli naprzód drogą ku Grabówce, zachowując głęboką ciszę, — ledwie miarowy łopot kopyt końskich lub niekiedy nieuchwytny brzęk pałasza zawadzonego ostrogą znaczył pochód strzelców. Ludzie i konie nagle jakby oniemieli. Ani parsknięcia, ani szeptu, ani chrząknięcia, ani westchnienia. Z karabinkami podszypanemi świeżym prochem w pogotowiu, z krótko ujętymi cugłami w rękę, z zapartym oddechem a wyteżonym wzrokiem w ponurą dal, ciągnęli niby mary, duchy jakieś. Czarne ich

sylwetki zlewały się z czarną wstęgą drogi, ginęły na tle zbalwanionych, skłębionych chmur, zasnuwających niebo.

Floryana, jadącego na przedzie drugiej kompanii strzelców wśród głuszy a martwoty, opadły myśli tęskliwe za domem, za spoczynkiem, za Zośką. Jeszcze rok, półtora, a potem osiedzie na roli. Czas mu zażyć wytchnienia, po tym ciągłym rozgonie. Nigdy bo jeszcze żołnierka tak mu nie dokuczyła, jak teraz. Ba, dawniej w to mu graj było, choćby tygodniami całymi w polu, w pełnym rynsztunku, z ręką na głowni pałasza. Ileż razy do snu go kołysały armatnie wystrzały, ileż razy dźwięk trąbki widziadła nocne przerywał. A teraz odstąpił go i zapal dawny i ciężar jakiś tłoczył mu piersi.

Tu nagle uczuł Floryan jakiś jęk, wydobywający się niby z pod ziemi, po której koń jego stapał. Jęk był cichy... tak cichy, jak skarga wichrem skręconej brzozy, jak szmer liści, a przejmujący i smętny, niby rozelkana dumka pastusza, niby ostatnie westchnienie konającej w roz-



kwicie dziewicy. Jęk nie milknął, a były w nim wszystkie bóle a rozpacze ciężonej ongi przez panków kozaczyzny, płynęła w nich i gorycz samowoli królewiat, i echa gwałtu możnowładców, i zbrodni sprzedawczyków, i ta niemoc, która nastąpiła z mocy a zaufania, i lza perlista, co, zda się, mówiła — więc znów na nową pustkę, a pożogę iść mają moje lany, i kiedyż skończą się dla mnie dni kary a dopuszczenia za winy moich synów!...

Ten jęk przeraził Floryana i obudził w nim nagle owe zapęły, z jakimi szedł do ataku na polach Marengo, jakie w życiu tulaczem kazały mu się wyrzec i rodziny, i ziemi, i dostatku, dla jakich zginęły już tysiące. Napoleon! Cesarz, bożyszczce. Wspaniałe a tklive, nieugięte a laskawe, dumny, jak lew, lecz równie jak lew odważny.

Floryan dotknął ręką czoła, było rozpalone.

Szwadron zbliżał się tymczasem do Grabówki. Na skraju horyzontu migotały już zdala czerwone światelka z chat wieśniaczych, rozrzucone, migotliwe, niepewne.

Deschamps tymczasem skinął na Levitoux i Wosińskiego, i rozkazał im z plutonem strzelców wysunąć się naprzód. Wosiński ze strzelcami pomknął drogą ku Grabówce wyciągniętym klusem, kierując się wprost, na najbliższej drgające światelko. Zaledwie jednak zdołał ujechać z oddziałem kilka staj — gdy tuż przed nim, na szosie, zarysowały się jakieś niewyraźne cienie, a równocześnie rozległ się chropowaty głos:

— *Wer da?!...*

Wosiński bez wahania dobył pałasza i, nie zwracając uwagi na jadącego przy nim oficera francuskiego, zakomenderował — *en avant!!* Pluton gruchnął z impetem na placówkę pruską. W tejże chwili prawie padł strzał... i młody Levitoux zsunął się z siodła. Wosiński tymczasem rzucił się na nieprzyjaciela... Już był pałasz wzniesł do góry, już był zamierzył się z zaciekłością i... ciał... lecz ostrze rozpruło tylko z gwizdem a sykiem powietrze. Placówka ściągnęła konie i rzuciła się do ucieczki. Wosiński ryknął z pasy i, już nie oglądając się na strzelców, pomknął za uciekającymi... Rozpo-



częła się gonitwa zajadła, szalona. Trzej prusacy, którzy zajmowali placówkę pod Grabówką, uciekali ile sił. Wosiński bódł konia ostrogami a plazował palaszem, chcąc i strzał zdradziecki i owe niefortunne cięcie pomścić. Prusacy pędzili wprost ku wsi. Wosiński napierał konia coraz gwałtowniej, jakoż po kilku wysiłkach zdołał zbliżyć się do prusaków na odległość strzału. Wówczas chwycił za pistolet i wypalił, mierząc w najbliższej galopującego konia. Koń prusaka spał się i stanął dęba. Siedzący na nim prusak zsunął się zręcznie z siodła i rzucił się na przelaj przez pole, pozostawiając wijącego się w śmiertelnych podrygach konia. Wosiński bez wahania zawrócił za uciekającym pieszo. Pogoń teraz trwała już krótko. Koń Wosińskiego sadził przez zagony i rowy, jak szalony idąc za cieniem prusaka. Wreszcie Wosiński sięgnął do olster po drugi pistolet, wołając groźnie:

— Stój! Bo w łeb strzełę!

Prusak zatrzymał się, a raczej padł nagle na ziemię, odrzucając palasz i beł-

kocząc niezrozumiale — „pardon! — pardon!“

Wosiński z pistoletem w pogotowiu podjechał i wciągnął nie broniącego się żołdaka przed siebie na siodło. Kapitanowi w tejże chwili wrócił dawny humor i pogoda. Pistolet nabity w zanadrze mundura wsadził na wszelki wypadek i ruszył zwolna ku oddziałowi, ostrzegając jeńca:

— Tylko mi się sprawuj dobrze, bo kulą w łeb!

— At, co mi tam!—odparł rezolutnie jeńiec. — Nigdzie mi nie pilno!...

— Cóżes ty!? — jął pytać ciekawie Wosiński — po polsku mówisz?!...

— Zaś mówię!

— Polak jesteś!?

— Kto tam wie! Niby w dragonach jestem prusak, a mają mnie niektórzy za polaka, a naprawdę, ze Świdnicy na Ślązku jestem!... Ślązak panie!...

— Ślązak, więc polak!

— Niech będzie! Wola pańska!

— Hm! Głupi cham!—mruknął Wosiński, a po chwili dodał: — Jakże ci na imię?!...



— W szwadronie wołają na mnie Johan, a w domu to... Antoni!...

— Cha, cha! A czemużeś to, nicponiu, tak uciekał?

— Myślałem, że francuzy idą!

— A to dopiero ciemiega! Nie wiesz że to jeszcze, że francuzy właśnie na to idą, aby prusacy was nie mordowali, aby kiep taki mógł spokojnie w chalupie siedzieć...

— Zkąd mam wiedzieć? Mówili francuz pobił prusaka, tedy musi być gorszy od niego!... A... a... wielmożny pan francuz?!...

Wosiński aż się zachwiał na siodle z oburzenia, a potem dając folgę gniewowi, chwycił za kark ślązaka i potrząsnął nim niby gruszą.

— Słuchaj chamie! — wrzasnął i to sobie zakonotuj, że jak mi będziesz farmazona udawał, a nacye mięszał, to cię tak trzasnę w gębę, że jej z miesiąc nie otworzysz! A to ci psia dusza!

— Wielmożny panie! — błagał załóżnie ślązak, wijąc się w żelaznym uścisku ręki Wosińskiego. Powiadali w re-

gimencie francuzy idą... tak i czlekowi na myśl nie przyszło, że wielmożny pan także nasz pruski...

— Bodaj cię choroba! — zaklął Wosiński i puścił kark jeńca, rozumiejąc, iż się z nim nie dogada.

Kapitan dowlókł się powoli do szwadronu, gdzie go mieli już za przepadłego lub zagarnionego przez pruską placówkę. Deschamps mruknął coś pod nosem na przywitanie Wosińskiemu i rozkazał Floryanowi wybadać ślązaka. Ten, wystraszony groźną miną białego pułkownika a marsowemi twarzami strzelców, płacząc się a mieszając, wyznał całą prawdę o sile stojącej załogą w Częstochowie, czem potwierdził całkowicie zebrane już szczegóły. Deschamps stropił się nieco. Wszelkie wątpliwości, że znajduje się wobec przemagającej siły nieprzyjacielskiej, ustaly. Najmniejsza nieostrożność mogła sprowadzić na głowę szwadronu prusaków. Już teraz nawet obawiać się tego można było, spędzona bowiem placówka wnet ich zaalarmuje. Ba, lecz przecież Deschamps miał sobie poleconem obser-



wować ruchy całej armii nieprzyjacielskiej. Pozostawał mu więc teraz jedyny środek obejść Częstochowę i posunąć się dalej na zwiady.

Pułkownik nie namyślał się długo. Wysłał natychmiast gońców z przewodnikami do generała Milhaud, rannego ciężko Levitoux pozostawił w chacie soltysa w Grabówce, a dowództwo kompanii powierzył Wosińskiemu. Nadto rozkaz poprzedni w ten sposób zmienił, że Wosiński miał ze swą kompanją pozostać w Grabówce, aby odwrócić uwagę prusaków i dopiero na drugi dzień podążyć przez Wrzosowę do Olsztyna. O ile by zaś tam Deschamps nie znalazł, zacznie się cofać do korpusu Milhauda, który znajdować się musi już w okolicach Krośniewic.

Wosiński z zadowoleniem przyjął dowództwo kompanii, chociaż go i lęk zdjął równocześnie, w jaki sposób będzie mógł przewodzić oddziałowi francuzów, nie znając ani komendy francuskiej, ani ich języka. Deschamps odgadł snąc skrupuły Wosińskiego, bo odezwał się do Floryana:

— Hm! Tylko on nie zna języka! Ciężka sprawa... Czy da sobie aby radę!?!...

Gotartowski przełożył Wosińskiemu słowa pułkownika. Wosińskiemu przyszło na myśl, iż „biały“ gotów go jeszcze usunąć na plan drugi. Wyprężył się więc, a przyłożywszy rękę do kaszkietu i skupiając całą swoją znajomość francuzczyzny, którą był w ciągu tej krótkiej ekspedycji zdobył — odparł zuchowato:

— *Oui, oui! Monsieur colonel!* Wedle rozkazu... niech mnie djabli porwą, jeżeli sobie z tymi psiekrwiami szaserami rady nie dam!...

Deschamps parsknął z cicha i przywołał do siebie starego sierżanta Flageolet, polecając mu iść z Wosińskim i pilnie zważać na rozkazy kapitana... a w ostateczności samemu komendę prowadzić. Nadto miał dłuższą naradę z Floryanem, po której ten ostatni odciągnął na stronę Wosińskiego i rzekł:

— *Mości Wosiński!* Owóż pułkownik kazał mi powiedzieć Waszmości, iż ufa jego sprawności a doświadczeniu... Nadto w przypadku, gdyby ci przyjsć



mogło do potyczki, to zdaj się na sierżanta!... On już poprowadzi komendę... Pułkownik umyślnie przeznaczając Waćpana, ile, że mogąc rozmówić się z chłopstwem a szlachtą, prędzej się zorjentujesz w położeniu...

— No, no! Bądź wasze spokojny!... W kaszy się zjeść nie dam! — odparł z przekonaniem Wosiński.

Rozległa się cicha komenda. Kompanie ustawiły się czwórkami i idąc za przewodem Deschamps, Martina i Floryana, jęły odciągać w różne strony, znikając powoli w nocnej pomroce.

Wosiński sam został ze swą kompanią na drodze, tuż pod Grabówką. Obejrzał się za siebie. Strzelcy stali w wy czekującej postawie. Kapitan stropił się w pierwszej chwili, lecz, nie tracąc fantazyi, spał konia, zatoczył szerokie koło dookoła oddziału, dobył pałasza i zakomenderował „naprzód“. Niby echo na prawej stronie pierwszej czwórki dobył się z ust starego sierżanta niezrozumiały wyraz. I kompania ruszyła drogą wprost do Grabówki.

Wosiński, mając rozkaz zajęcia stanowiska obserwacyjnego w Grabówce — przede wszystkim pomyślał o jakiejś uczciwej kwaterze. Dopadłszy więc pierwszej chaty, jął rozpytywać ludzi. Wskazano mu na skraju wsi, od strony Częstochowy, karczmę żydowską. Wosiński wprost do niej podążył. Nakazał na miga sierżantowi rozstawić widety, a sam buńczucznie ze swoim animuszem wpadł do karczmy.

Mieszkańcy Grabówki tymczasem w niemem przerażeniu nadsluchiwali w zapartych chatach a izbach, co się to we wsi ich dzieje. Już od tygodnia patrzyli osłupiali na przebiegającą drogę w popłochu oddziały pruskie, na ciągnące sznury wozów a bryk. Płynąca fala żołdactwa co chwila zawadzała o ich chaty, wybierała im szkapiny, opróżniała spiżarnie, żądała postronków a uprząży, spędzała ludzi dla podnoszenia wywróconych wozów, a zawsze nagliła do pośpiechu. Nagle fala zaczęła rzednąć, już tylko niekiedy od Łobodna, Truskolasów czy Wilkowiecka szedł, jak wichur, od-



dział konnicy lub pędził wózek węgierski, mijał bez zatrzymania wieś i ginał na skręcie drogi, po za którą rysowała się w mgłach wysmukła wieżyca Jasnogórskiego klasztoru. I potem ucichło wszystko na czas jakiś. Kmiotkowie głowili się, coby to wszystko znaczyć mogło. Wprawdzie Szmuł, karczmarz, zapewniał, że wojna znów się zaczyna, że prusaków już pobili francuzi i że do Grabówki idzie tu jeden wielki bardzo i straszny Napoljon, ale temu mało kto dawał wiarę. Zwłaszcza, iż starzy gospodarze Grabówki, którzy jeszcze króla sasa pamiętali, zapewniali gromadę, że niemcy, jako rozmaite dyabły luterskie na usługach mający, pobić by się nie dali. Jakby na potwierdzenie tych słów, od Częstochowy nadciągnął pluton pruskiej kawaleryi. Nadciągnął cicho, bez wrzawy a hałasu i hen na szosie do Kłobucka się zatrzymał i jakby wrósł w ziemię. Żdziwiła się nie pomалу gromada tej nieruchliwości a milczeniu wrzaskliwych a hałasujących zwykle prusaków, a jęła wypatrywać, co oni tam robią.

Od świtu do późnej nocy kto śmielszy z wyrostków podkradał się do prusaków, wlepił w nich ciekawe oczy i wracał z nowiną do wsi.

— I cóż! — rozlegały się pytania.

— Dyc stoją! — brzmiała odpowiedź.

Wszystko to razem nie zdawało się wróżyć nic dobrego. Więc ten i ów chudobę zbierał i krył gdzie się dało wszystko, co jakąś mogło stanowić wartość dla żołnierza. Dziewki młode już zawczasu upatrywały sobie kryjówki w sklepach a pod powałami. Parobczaki jeno znaku czekali, aby umknąć w lasy, przed zaciągami.

W chwili, gdy Wosiński wpadł z sierżantem i kilku strzelcami do karczmy, świeciła ona pustkami. Za szynkwasem, w kącie, w oświetleniu zatkniętego w ścianie łuczywa, siedziała stara Siapsiowa, skulona i drżąca.

Kapitan huknął ostro na żydówkę, pytając o karczmarza. Siapsiowa skoczyła na równe nogi, lecz, posłyszawszy dźwięk polskiej mowy, nabrała otuchy i, zniknąwszy w alkierzu na chwilę, po-



wróciła, popychając naprzód wpółzgiętego Szmula.

— Światła dać więcej!... Jadła naszykować... gorzalki... miodu!...

— Wielmożny panie... miodu!? — jęknął żyd. — Gorzalki?... Zkąd wziąć!?... Biedny karczmarz jestem... co było zabrali... zrabowali!...

— Dosyć tego! — huknął Wosiński. — Ani mru... mru!... Żartów niema!... Jak mi w trzy pacierze się nie uwiniesz, pójdiesz z dymem...

— Z dymem!... Owa! Owa! Wielmożny pan nie skrzywdzi biedne żydki! — wmieszała się z krzykiem i płaczem Siapsiowa. — Wielmożny pan przebaczy!... My sami może tydzień nie mamy co w gębę włożyć!... Każdy przyszedł, każdy zabral!... Tylko te pięć dzieciów zostało i trochę chleba z cebulą!...

Wosiński ręką machnął:

— Nie wyc mi! Słyszeliście! Drugi raz wam nie powtórzę! Jedno z dwojga, albo was każę upiec... albo — dodał łagodniej — zarobicie parę czerwonych zło-

tych!... Patrzcie tu jest złotko... a tu żagiew!...

Żydom na widok dukatów oczy się zaświeciły. Aż do kolan kapitanowi przypadli.

— *Kikste!* — wołała z uciechą żydowica. — Widzisz! Ja odrazu ci powiedziałam, jak tylko wielmożny pan wszedł, że wielmożny pan, to jest taki wojewoda... taki...

— Dalej! Żywo! — fukał Wosiński.

— Już, już, wszystko będzie! Zaraz będzie! W tej chwili będzie! Już jest!... Może wielmożna osoba rozkaże muszkateli zagotować. To je taki muszkatel, co w całej okolicy nie ma... Pan wojski z Klepaczka ile razy przyjedzie...

— Zamkniecie wy nareszcie gęby!...

— Już, już! Sza! Sza!!

Karczmarz z karczmarką zabrali się żywo do spełnienia rozkazów kapitana. Z głębi karczmy do izby gościnnej wysypała się cała czereda żydziątek. Powstał gwar i hałas. Uwijali się wszyscy ochoczo. Izbę oświetlono, stół okryto



obrusem ba, nawet ławę, podesłano Wosińskiemu starym klimkiem.

Kapitan rozsiadł się wygodnie za stołem, a spojrzawszy na wyprostowaną postać starego sierżanta, skinął nań i wskazał mu miejsce na drugim końcu stołu. Sierżant salutując przykucnął na rogu ławy, wzruszony zaszczytem, który go spotykał.

Wosiński przeciągnął się z zadowoleniem. No, czuł się nareszcie, jakby na swoich śmieciach. Kubek gorzalki do reszty wypogodził czoło kapitana. Misa jajecznicy rozproszyła czczość.

Wosiński nie zapomniał i o swoich podkomendnych. Sierżantowi sam jadło i napój podsunął, dla strzelców kazał co prędzej barszczu z kartoflami nagotować a piwa zagrzać. Zaczem po sołtysa kazał żydom posłać.

Stary Mateusz Kiciak, sołtys Grabówki, zjawił się duchem, czapkując a kłaniając się do ziemi. Wosiński zagadnął go o adjutanta Levitoux, a zapewniwszy się, iż leży w wygodach i ciepłe, opatrzone przez ba-

by, jął go o Częstochowę i okolice rozpytywać.

Sołtys z początku kłaniał się a wzdychał ciężko, mierząc Wosińskiego nieufnym spojrzeniem, lecz powoli rozgadał się.

Wieść o rannym oficerze w chacie sołtysa i o zatrzymaniu się oddziału wojska przy karczynie w oka mgnieniu obiegła całą wieś. Jeden i drugi ze śmielszych wychylał się z izby, podchodził do karczmy, a ośmielając się widokiem rozprawiającego sołtysa, przestępował próg izby gościnnej. Ludu powoli do karczmy napływało coraz więcej, kupiąc się w oddali od stołu kapitana. Wieśniacy coraz żywcziej spoglądali na zmiatających barszcz z kartoflami strzelców.

A Wosiński raczył się tymczasem tą zachwalaną przez arendarza muszkatelą, mrugając znacząco na sierżanta i powtarzając doń z przekonaniem:

— Co!? *Bon? Bon?!...*

Flageolet za każdym razem ocierał rękawem mokre wąsiska, podnosił się



z ławy i, salutując, raportował z wzrastającym przekonaniem:

— *Suprême — capitaine!*

— A widzisz niedźwiedziu! — potakiwał Wosiński.

W karczmie zaczęto szeptać, a w końcu i gwarzyć coraz śmielej. Kapitanowi twarz poczerwieniała zlekka. W głowie mu potrosze szumić zaczęło. Zakrzyknął na żyda:

— Hej! Karczmarzu! A dajże i tym chłopom po kwaterce. Niechże im ślina do gęby napróżno nie idzie!

— Ajaj! Jaki jaśnie wielmożny pan dobry!... Jaki jaśnie pan wspaniały pan! — wołał karczmarz z zachwytem. — Słyszycie kapcany!!...

W gromadzie rozległ się szmer zadowolenia.

Stary sołtys aż się po głowie podrapał i ozwał się nieśmiało:

— Wielmożny panie! Toć żyję ci ja nie od dziś i nie od wczoraj na świecie i w Koniecpolu, i w Mrzygłodach, i w Pilicy bywałem, a com takiej łaskowości nie

ogładał, chociaż się tam kręciło rozmaitych oficerów z *kamery!*...

— Nic, nic... zobaczysz takich więcej! — odrzekł z zadowoleniem Wosiński. — Pruszczyzna się już skończyła!... Czmychają galgany...

— Niech uni nogi połamią! — podchwycił z boku arendarz. — Takie łajdaki — czy to można co u nich zarobić?!... A psiepraszam jaśnie wielmożnego pana, czy to prawda, że do nas mają przyjść inne prusaki, co się une nazywają francuzy?!...

Wosiński palnął pięścią w stół. Arendarz odskoczył przestraszony.

— Cóż ty żydzie jakiś!!... Nie widzisz?!... Patrz-że blaźnie!... Nie widzisz francuzów w karczmie!...

— Francuzów?!... O jej!!... Teraz wiem!... Psiepraszam, a jaśnie oświecony wojewoda to może sam Napoljon?!...

— Nie zupełnie! — odrzekł z powagą kapitan. — Ale i Napoljon przyjdzie!...

— Przyjdzie! — zawołał żydek. — Aj waj!... Słyszycie chłopcy, sam wielmożny Napoljon przyjdzie do Grabówki!...



— A! a! a! — rozległo się w gromadzie chłopów, a równocześnie pierścien wieśniaków dokoła Wosińskiego i Flageoleta zaczął się zacieśniać. Karczmarz dalej śpieszył nasycić swoją ciekawość.

— Jaśnie oświecona osoba daruje, co to się zrobiło?... Nasze żydki mówili, że się zrobiła wielka wojna... Taka duża wojna z armatami...

— Głupiś żydzie! — przerwał kapitan. — Francuz zobaczył, że nam prusak dokucza, zebrał się tedy i dalej go tarł... Prusakowi zdawało się, że poradzi... dostał kaducznie w skórę pod Jena, a potem wzięli mu Lubeke, Kistrzyń, więc prusak nogi za pas i dalej umykać, a francuz za nim po piętach mu depcze a grzmoci... a wali, nie pyta!...

— Dobrze robi! — potwierdził z przekonaniem Szmul, a poskrobawszy się w brodę, zapytał znów nieśmiało: — To co francuzi wzięli prusakom?!...

— Lubeke, mówię, Kistrzyń!...

— Co to znaczy, bez urazy, Kistrzyń?!...

— Kistrzyń? Twierdza, panie, sroga, otoczona wałami, przekopami. Mury tegie, fosy, armaty...

— I oni to wszystko wzięli prusakom?...

— Powiedziałem ci raz, barania głowo!...

— Aj waj! Wzięli! Dla czego nie mieli wziąć?... takie francuzi!... Jaśnie wielmożny pan nie obrazi, czego oni by nie wzięli?... Mnie już dzisiaj dwie kury i gęś wzięli!...

Wosiński wybuchnął serdecznym śmiechem:

— A bodaj cię, żydzie!... A niechże cię nie znam!... No, no! Zapłacę ci... nie bój się!... Pilnuj się tylko, bo tu nadciągnie za mną siła jeszcze ludu... Cha, cha! Tom się uśmieł!...

Arendarz ręce zatarł, że mu się tak zgrabnie udało upomnieć o swoją krzywdę! W gromadzie wieśniaków lody nieufności topniały — szeptano między sobą z przekonaniem — „dobre panisko!“

Wosiński pociągnął ze szklanicy jeden i drugi łyk muszkateli i znów za-



czął, zwracając się do soltysa i wieśniaków:

— Owóż sobie to zapamiętajcie dobrze, że co prusak, to nie francuz. Tamten przyszedł was gnębić, podatki ciągnąć, dziesięciny wybierać, rekruta chwycić, a wszędy przymusy czynić...

— Prawda! Prawda! Wielmożny panie!!—odezwały się pojedyncze głosy.

— A no widzicie! Francuz? Francuz właśnie idzie, aby was z tej pruskiej opressyi wyzwolić!!... Rozumiecie?!...

Chłopi spojrzeli po sobie i milczeli. Szmul pośpieszył się wmieszać:

— Jaśnie wielmożny panie, co takie głupie parobki mogą wiedzieć!... Ja im zaraz powiem! Słuchajcie, soltysie i wy Kuba!... Jaśnie wielmożny pan mówi, że wszystkie prusaki będą wypędzone i z Grabówki, i z Brzezniczy, i z Klepaczka, i z Janowa, i ze Starej Kuźnicy, może z całego świata! I tu wszystko będzie po dawnemu... Przyjdzie pewnie do nas sam pan Zaremba i wielmożny rotmistrz Grabowski, i porucznik Załuskowski... Już

nie będziecie mieli ani jednego prusaka, tylko same wielmożne...

— A... a... landrat?!—rzucił niepewnym głosem soltys.

— Landrat?! — powtórzył arendarz zaskoczony niespodziewanem pytaniem.— Landrat?... On troszkę pojechał do Piotrkowa!!...

Kapitan pokładał się ze śmiechu, słuchając wykrętnych odpowiedzi arendarza,—żyd, widząc dobry humor Wosińskiego, ciągnął dalej swój wykład:

— Landrat to un jest osoba, to jest taka osoba, że musi być zawsze. Jemu się będzie podobało nazywać mandatarjusz albo starosta, ale on ciągle będzie. To wy, Kuba, i wy, Kiciak, sobie pamiętajcie, że jak mieliście dać wymiar, to wy go dacie i teraz, to do was nie przyjdzie już po siano, ani po owies, ani po krupy, ani po jaje prusak,—tylko przyjdzie wielmożny francuz, albo wielmożny... Jak się żołnierzowi zepsuje wóz, albo złamie oś, albo zerwie postronek, albo lejca, albo przewróci się bryka, albo jemu się będzie chciało albo pić, albo jeść..



albo mu będzie za zimno, albo za gorąco, to on także do was przyleci i także da wam kwitek... ale to już nie będzie pruski żołnierz, tylko wielmożny francuz!... Rozumiecie!?!...

W gromadzie powstał lekki szmer przykrego zdziwienia. Wosiński pobladł z gniewu i huknął surowo:

— Słuchaj ty, przechero!!... Sprzykrzyło ci się po świętej ziemi chodzić, chcesz sobie widzę podyndać!... Ja cię tu zaraz nauczę rozumu! Flageolet! Sam tu?...

Sierżant porwał się z miejsca i stanął salutując przed Wosińskim, czekając rozkazu. Kapitan uniesiony gniewem zapomniiał był, że sierżant... nie rozumie po polsku i zakomenderował ostro:

— Zabrać go natychmiast i pięć batów!

— *Capitaine!*? — zagadnął Flageolet, nie ruszając się z miejsca.

Wosiński spojrzał na twarz sierżanta i zaklął z cicha. Arendarz tymczasem przerażony rozkazem, jął szeptać błagalnie:

— Jaśnie generale! Jaśnie oświecony panie! Czy ja chciałem obrazić... niech mnie...

— Milcz! — uciął surowo kapitan, a oryentując się w sytuacji, dodał łagodnie:— Za karę, żeś się poważyl w podobny sposób do nich przemawiać, musisz na przeprosiny dać na głowę po kwarterce gorzalki!!... Nie ma przebaczenia! Soltys! Bierzcie mu tam barylkę!!...

Arendarz chciał protestować — lecz Wosiński skinął na gromadę. Chłopi ruszyli za szynkwias, wytoczyli barylkę, i jęli się raczyć wódką. Szmul, a za nim Siapsiowa i żydzięta uderzyli w lament.

— A wyrzucić mi z karczmy te piszczaly! — nakazał kapitan.

Gromada spełniła skwapliwie rozkaz Wosińskiego, żartując a zachęcając się do picia.

Gwar w karczmie wzmagął się, pod karczmą również. Strzelcy podjadłszy i podpiwszy nieco, baraszkowali sobie, śmiejąc się a nucąc żołnierskie piosenki. Ten i ów próbował nawiązać rozmowę



z dziewczynami, które w ślad za chłopami zaległy już podjazd przed karczmą.

Nie szczędzono sobie ani żartobliwych uwag, ani złośliwych docinków.

— A to ci czarny, niby smok!... Jaki to żółty!... Świergocą między sobą, jak stare śmieciuchy! — Ta niczego! Podobna ci się — chcesz zostać artylerzystą!?... Trznadle — kuse to, o rety! Dajże mu ta sójkę niech nie następuje! — Kloce! — Szczygły!...

Nikt się tu nie obrażał — nikt nie srożył! — jedni drugich nie rozumieli.

Karczma buchała potokami światła i kłębami pary. Okrzyki a śmiechy stały się coraz żywsze, coraz głośniejsze.

Jeden kapitan stracił nagle humor.

Myśl, że oto nie może się porozumieć ze swoją komendą, jak należy, skwaśliła go. Wosiński czuł, iż w danym razie musi się z góry wyrzec wszelkiej samodzielności w działaniu i że raczej stary sierżant, a nie on, jest w tej chwili dowódcą oddziału. Wprawdzie rozkaz otrzymany nie należał do trudnych ani zagmatwanych, atoli Wosińskiemu błakała

się już była oddawna myśl, aby przy zdarzonej sposobności pokazać temu „białemu borsukowi“, co gwardya narodowa potrafi!... Zdawało mu się, że teraz właśnie okazała nadeszła, aż tu znalazł się szkopuł, o który wszystkie jego zamysły rozbić się muszą. Nawet mu marzyć nie wolno o urządzeniu jakiej zasadzki, czy wyplatania figla pruskiej pikiecie. Co gorsze, sam mógł się znaleźć w nielada kłopotcie.

Spędzona placówka może z łatwością naprowadzić liczniejszy oddział nieprzyjaciela. A tu nie wiadomo, po jakiemu wydać rozkazy. Ech! Gdyby tak miał pod sobą choć tuzin jeden tych zuchów dawnych z pod Szepietówki!... Ba, ba! Co począć? Co zrobić! No siedzi tu, naprzeciwko niego, ta zasuszona mumia francuska i oczyma lypie! Niby kapitan w ciągu tygodniowego bez mała przebywania z francuzami w szwadronie kilka wyrazów zdołał pochwycić, a kilku nauczyl go Gotartowski, lecz co mu one pomódz mogły?!...

Wosiński głowił się nad wynalezienie







chodziły mgłą. Kiwnął się raz i drugi, senność kleiła mu powieki.

Naraz, za oknami karczmy, powstał zgiełk i dziwny hałas. Kapitan oprzytomniał i chwycił za pistolety. Flageolet dobył pałasza. Drzwi się z trzaskiem otwarły, gromada strzelców wprowadziła do izby opierających się jeńców. Był to chłop olbrzymiego wzrostu a marsowego oblicza i gruba, przysadzista baba. Chłop targał sześciu wczepionemi w niego strzelcami i mrucał groźnie — baba wykrzykiwała głośno i lżyła trzymających ją żołnierzy, mieszając co chwila cudzoziemskie wyrazy:

— *Sacrébleu!* — wołała baba. — Bodaj was pokurczyło! Cóż to sobie myślicie! Mnie, markietankę pierwszej legii, pierwszego batalionu za kark prowadzić... a chyba mnie zaleje!... A psianogi... a podlece!... Wyście francuzy... rakarze jesteście! *Canailles!*...

— Jasia! — mrucał chłop, zgrzytając zębami. — Rozplaszczę którego!...

— Czekażże!... Przecież ta hołota musi samopas nie chodzi!... Może się tu

znajdzie jaki oficer... Ady nie ciągnij psiawiaro, bo ci ślepię wydrapię!...

— Cicho mamó! Cicho!! — odezwał się jeden strzelec.

— Słyszysz stary! — ryknęła baba. — Ta pokraka mówi do mnie „mamó!“ Jakiem Muszyńska z domu, święty Antoni, nie opuszczaj mnie, bo już nie wytrzymam!!...

— Milczeć! — wmieszał się kapitan. — Flageolet! Postronków! Ja was tu rozumu nauczę!...

Baba posiniała z oburzenia:

— Cóż to sobie pan myśli!... Mnie wiązać! Mnie, markietankę legii!... Tfy! Różnych już francuzów w życiu się natrzyłam, ale co takiej hołoty!!!...

— Odpowiadaj na pytanie jeden z drugą, bo kulą w łeb...

— Kulą w łeb! Patrzcie-no! Słyszysz stary... osobliwość zobaczymy!... Przecież mnie nie duście! *Nom de Dieu!* Jest was przecie regiment bez mała!...

— Jasia! Nie gadaj! — upominał chłop, który na widok oficerskiego mundura



Wosińskiego, przestał był się wyrywać strzelcom.

— Co nie mam gadać!—wrzeszczała baba. — U prusaków jestem, albo co!? Żeby mnie dziś, Muszyńską z domu, taki despekt spotykał i od francuzów!

— Będziecie wy odpowiadali do licha na pytania? — zakrzyknął Wosiński. — Chcecie, żeby wam gęby pozatykać!... Gadajcie, coście za jedni?!!

— Joanna Żubr, markietanka pierwszej legii, pierwszego batalionu—odparła dumnie baba. — A to mój stary niedołęga...

— Maciej Żubr, podoficer pierwszej legii, pierwszego batalionu drugiej kompanii!—poprawił chłop.

— Jakiej legii?!—rzucił surowo Wosiński—nie rozumiejąc odpowiedzi.

Jakiej legii?! — przeciągnęła z pasyą baba.—Słyszysz stary!?... Jakiej legii!... Masz dyable kaftan!... Przez dziewięć lat nawycierałeś się kątów po całym świecie, z głoduś zdychał a krew dał sobie toczyć... aż ci się pytają z jakiej jesteś legii!! Z włoskiej, mości kapitanie,

nie z tchórzowskiej, ani piecuchowskiej, ani grabkowskiej!...

Wosiński zagryzł wargi. Mimo wyraźnego oporu jeńców i ich hardości, zaczęli mu się coraz więcej podobać. Ozwał się więc łagodniej:

— No, no! To się wyjaśni! Prawo wojenne! Każdy rad się wykreca... Jeżeliście służyli wojskowo, to powinniście znać to prawo...

— Prawo! Według rozkazu!—szepnął Żubr i wyprężył się przed Wosińskim tak silnie, że trzymającego go za ramię strzelca podniósł do góry.

— Juści to się wie!—odrzekła uspokojona baba.—Myśmy też nie włóczęgi, nie szpiegi, a prusaków sami obedrzeć ze skóry żeśmy radzi. Niechże więc pan kapitan od tych pijawek nas uwolni...

Wosiński dał znak strzelcom, aby odstąpili Żubrów i zagadnął:

— Więc powiadajcie mi o sobie. Zkąd wracacie i dokąd jedziecie?

— Gdzieżby! — zaczęła baba. — Będzie temu dwa tygodnie, jak wróciliśmy do kraju z naszym panem porucznikiem.



Pan porucznik w drodze do Warszawy, zajechał do domu... i powiada, należy się wam odpoczynek, to u mnie się ostawajcie, dam sobie radę i bez was!... A już siłaście się po świecie natulali. Nie sporo nam było się z panem porucznikiem rozstawać, ale, że stare kości o wytchnienie gwałtowały, a w gospodarstwie na wsi robota się zawsze najdzie i na łaskawym chlebie siedzieć nie potrzeba... tedy ostaliśmy. Minął dzień, drugi, trzeci, porucznik zaraz dalej odjechał, w domu nas honorują i starsza pani i paniątka, a już co starszy pan to nam spokoju nie daje, aż człekowi język kołem staje w gębie od ciągłego pytlowania. Aż ci wspominam sobie, jako będzie temu lat parę, gdyśmy nad Adygą w ciężkich byli opalach, ślubowałam, że jeżeli z moim starym do kraju powrócę, to pielgrzymkę do Częstochowy odbędę!... Uprosilśmy się więc na urlop i poszliśmy, bo to i z pod Rawy niedaleczko. Wczoraj właśnie, gdyśmy nadciągnęli na Jasną Górę, prusaków do klasztoru naszło jak mrowia, a powiadali nam, że cesarz już,

już nadchodzi i że lada chwila zaprą bramy klasztorne, bo się będą prusacy bronili!... Myślę sobie, źle jest!... Bo to i wstyd byłoby człekowi siedzieć u prusaków w pułapce, no i dla duszy nie wielka pociecha. W tej bo ciżbie Najświętsza Panienska snadnie mogłaby nas za niemców czy lutrów poczytać!... Odmówiwszy więc pacierze i wydechawszy się trochę, ruszyliśmy na noc z powrotem, do lepszych czasów dłuższe modlitwy odkładając... Idziemy, a tu na przeciw nas prusacy pędzą... przycupnęliśmy pod drzewem, broni żadnej nie mając... minęliśmy ich szczęśliwie!.. Idziemy dalej, idziemy... aż tu nas te pijawki opadły. Myślałam niemcy z początku... ale ci *perlefransują!*... Mówię do nich „*bon soir!*“ Krzyczę — *vive l'empereur! vive la France!*... Gdzie tam!... Narobili hałasu—opadli nas i tu przynieśli!... To i cała szczerza prawda!...

Hm! A cóż to za porucznik?!...

Któżby! Imć pan Floryan Gotartowski!...

— Gotartowski?!!...



— Nie kto inny! Pisanie od generała Dąbrowskiego wioził z Berlina, a teraz, Bóg wie, gdzie się drogie nasze panisko podziewa!...

Wosiński zerwał się z miejsca:

— A czegożście mi, do licha, tego odrazu nie powiedzieli. Gotartowski! Gotartowski! Hej! Żydzie! Dawaj-no tu muszkateli, a żywo!... I trzy kubki! Bodajże was! Toć przed dwoma godzinami z kapitanem się rozstaliśmy!...

— Z porucznikiem!—poprawiła baba.

— Właśnie, że szlufy kapitańskie dostał!...

— I... i... jest tutaj?!...

— Za dni parę się zjedziemy!...

Stary, słyszysz!... Nasz porucznik szlufy kapitańskie dostał... no i podwójne obszlegi, a przy szabli temblak ze srebrnym kutasem!... Jezu! Jakże on musi wyglądać! Uważasz niedołego! Kapitańskie szlufy!... Gdzieże on jest?! Paniątko moje!!... Słyszysz stary?!...

— Nie... gadaj Jasia!—mruknął Żubr, ocierając rękawem łzę.

Żyd postawił kufę muszkateli, i na-

łał kubki. Wosiński się rozochocił znowu:

— Et! Co tam! Wytarmosili was! Niech wam będzie na zdrowie! Widzę, żeście porządne ludziska! W wasze ręce! Pijcie Żubr!... A i wy się nie wzdragajcie! Na przeprosiny.

— Cha! Wzdragać to ja się nie będę! — rzekła z przekonaniem baba, sięgając po kubek. — Tylko ty, stary, folguj i do kubka mi się nie przylepiaj zanadto!... Pięście silne, ale co głowa to wiechetek, od lada czego kiwnie mu się!... Zdrowie naszego porucznika!!

Strzelcy widząc dobrą komitywę, jaka zapanowała pomiędzy jeńcami a Wosińskim, ustąpili na bok. Chłopi zwabieni tumultem, znów napłynęli do karczmy, obracając się śmielej, raźniej. — Żubrowa nabrała fantazyi i humoru, jęła opowiadać kapitanowi o Częstochowie.

— Co się tam dzieje, panie kapitanie, to powiedzieć trudno! Prusaków znalazło się z betami, bachorami, wozami, że na mury się dostać nie można... Spo-



sobią się do odparcia oblężenia. Zataczają działa, czyszczą broń, a zgiełku, a krzyków co nie miara!... Starszyzna pruska jest — a jakże!... Sam general Wagenfeld dowodzi, i sztabu pełno i różnych oficerów. Ale co właśnie pedala mi furtyanowa, niby matka braciszka klasztornego, jako silnego stracha mają Niemcy, bo jak ktoś tam, będzie temu trzy dni, obaczywszy z daleka pruskich huzarów, krzyknął — „francuzy!“ — to się takie zrobiło zamieszanie... — Stary! A odczepisz się ty od muszkateli!!... — że lada podjazd mógłby całej fortecy dobyć!...

— Lada podjazd — mówicie!?

— A pewnie, panie kapitanie, albo to raz na taką komedię patrzyłam!... Jęszy żołnierz póty coś znaczy, póki go tchórz nie obleci... Mało to się napatrzyłam! Ile razy!... I to nie byle kto, ale stare grenadjery od jednego naszego okrzyku broń rzucali i w nogi!!... Ani czasem wystrzelić nie było czasu. Kurz się zrywa przed nami. Myślemy idą do ataku, a oni karabiny na ziemię, albo pod pachę i w nogi!!...

Ba, ba, Częstochowa siła może wytrzymać!...

— Co prawda, to prawda! Mury nie lada! Dla Boga! Maciej! A nie zalewaj że się... Oddaj-no lepiej kubek! Nie bój się! Nie wyleję za kołnierz! Przednia muszkatela! Co to ja miałam pedzić?! Aha! Otóż, gdyby tak garstka zuchów się znalazła, to przy pomocy Najświętszej Pani, kto wie, nie dali-by się lada komu!... Lecz prusacy!... Niby to debatują nad obroną, a za lada wystrzałem poddać się gotowi!... Nie dziw, bo siedzą, co prawda, wzięci we dwa ognie!...

— Jakże to!?

— A no tu mogą ich zaatakować francuzy, a tu przecież Święci Pańscy pewno już długo nie ścierpią, aby im luter panoszył się, a miejsce cudami slynące posponował!... He!... Panie kapitanie, jakim Muszyńska z domu, żeby tak bataljonik! Na co! dwie kompanie... jedna kompania!... Już bym nie wytrzymała!...

Wosiński pokręcił głową, choć mu



ta myśl dziwnie do gustu przypadła. Żubrowa pociągnęła muszkateli i dokończyła z przekonaniem:

— Niech mnie pierwsza kula nie minie, poszłabym! Albo to bym nie znalazła pomocy? Mało bodaj, tu we wsi, chłopów? możeby nie poszli!? Cóż to, heretyki są jakie, kacerze, żeby Najświętszej Paniencie odmawiać mieli od-sieczy!?! Prawda stary?!...

Nie gadaj Jasia!! — ozwał się Żubr, spoglądając melancholijnie na odebrany mu kubek z muszkatelą.

Wosińskiego uderzyły słowa baby.

— Dobrze mówicie, Żubrowa! — zawołał. — Hej! Gromada! Sam tu do mnie!... Sołtysie! Słyszeliście, co wam tu kobiecina ta powiedziała?!...

— Słyszeliśmy! — odpowiedzieli chórem chlopi.

— A miłujecież naszą Częstochowską Panienkę a Orędowniczkę!?

— Miłujemy!

— Patrzcie więc, jaki ją to dyshonor a pohańbienie spotyka. Prusacy w miejscu świętem!...

— Prawda wielmożny panie! — ozwał się stary sołtys. — Człekowi aż się serce kraje na ten przykład! Ojcowie Paulini dość się nawyrzekać nie mogą. Ofiary a wota im zagrabili i do wywiezienia już przygotowali!... Kary na nich niema albo co?!...

— Nie ma kary? Owóz i będzie! Dalej chlopy. Zbierać się w gromadę, pójdziemy klasztoru dobywać!... Żywo łapcie za draży, za luśnie, kosy a widły — pójdziemy wszyscy!... My im pokażemy!...

Wieśniacy zafrasowali się, ten i ów drapał się w głowę a na drzwi poglądał. Żubrowa skoczyła do nich, nie mogąc ścierpieć tej obojętności:

— A wy, psiekrwie! Wy się jeszcze namyślacie! To ja, słaba kobieta, pierwsza za kłonicę chwycę i pójdę! Pójdę, jakiem Muszyńska z domu!... Wy będziecie medytować!... Odmieńce, niedowiarki!... Mało to się każdy z was codzień naskamle, naprzymawia Najświętszej Paniencie, to o zdrowie, to u urodzaj, to o deszcz, o pogodę, o ratunek



w lada potrzebie... a teraz, taka to wdzięczność!!? Zdaje się wam, że to wam nie będzie policzonem!!.. Ruszajcie capy jedne... dalej, pod Częstochowę!!! Żywo się zbierać!...

Słowa Żubrowej sprawiły skutek piorunujący. Gromada chłopów zasemrała, drgnęła niby ze snu zbudzona i nagle huknęła całą piersią:

— Pod Częstochowę!!..

Wosiński wydał natychmiast stosowne rozkazy.

Godziny nie upłynęło, a przed karczmą stały kupy chłopstwa z siekierami, drągami, kosami, podzielone na małe gromady.

Wosiński w ostatniej chwili przypomniał sobie szlązaka, którego był pojmał, a który leżał związany pod strażą i kazał go przyprowadzić przed siebie.

— Słuchaj trutniu — rzekł doń marszcząc brwi groźnie.—Za to, żeś broń rzucił, puszczam cię wolno!... Idź, wracaj do swoich, do Częstochowy. Chciałem cię powiesić, ale zaniechałem zamiaru, bo mi szkoda postronka... na nim

będzie wisiał twój generał... ten... Wagenfeld... Rozumiesz?!..

— *Ja wohl!* — szepnął przerażony szlązak.

— Milcz i słuchaj! Powiesz swemu generałowi, że cała armia francuzka idzie na Częstochowę i że, jeżeli jej nie podda i nie padnie mi do nóg, będzie wisiał... posiekany na drobne kawałki! Teraz uciekaj a śpiesz się, bo jak cię drugi raz schwycą, to po harapie!... Stój jeszcze! Widziałeś, nicponiu, cesarza Napoleona!... Gadaj!!..

Szlązak zatrząsł się, rzucił okiem na groźnie zmarszczoną twarz Wosińskiego, na marsowe twarze otaczających go strzelców, na tłum chłopstwa i zgiął się do kolan kapitanowi, bełkocząc:

— Widziałem!... *Ekcellence!*!..

— To dobrze! Uciekaj teraz!..

Szlązakowi nie trzeba było dwa razy tego powtarzać, porwał się z miejsca i pomknął drogą ku Częstochowie.

Wosiński nakazał, przed ruszeniem w pochód, karczmarza z rodziną w lamu-



sie u sołtysa zamknąć, ile, że był go podejrzewał o konszachty z prusakami.

W kilka chwil później rozległy się dźwięki trąbki i pochód ruszył naprzód przy świetle pochodni.

Naprzód jechało czterech strzelców badając okolicę, o kilkaset kroków za nimi szła kupa co sprawniejszych a młodszych parobczaków, mając na czele Żubra i Żubrową, na małych krępych konikach chłopskich; za nimi dopiero jechał Wosiński ze strzelcami, wiodąc za sobą drugą gromadę chłopstwa pod sołtysem. Czterech strzelców zamykało szyk bojowy oddziału.

Dziwny i fantastyczny był to pochód. Noc czarna, smutna, okrywała kraj cały, chłonąc w głębi swej nawet cienie drzew, kontury chat wieśniaczych i faliste linie pagórków. Noc była nieprzenikniona, dżdżysta, przepastna, listopadowa noc. Lasy i pola, góry i doliny, sioła i miasteczka, niebo i ziemia zlewały się z sobą w jakiś wielki nieobjęty całun, kir. Naraz, na drodze ku Częstochowie, ukazała się długa linia po-

chodni, w blaskach których mieniły się ostrza siekier i kos, bielily świty chłopskie, lśniły feldcechy a guzy strzelców; tu i owdzie czerwienily się chusty dających za oddziałem bab.

Pochód szedł w milczeniu, niby procesja żałobna. Naraz z piersi wieśniaków zerwały się słowa antyfony:

Pod Twoją obronę uciekamy się...

Zerwały się i uderzyły w niebiosy i popłynęły w dal niezmierną.

Antyfona chwilami milkła, przechodząc w jakiś szepc żalony, pełen skargi, łez, bólów a trosk. Zdało się, że na ten szepc ludu całe wieki przemocy paników, ciemienia królewiąt, a gorzkiej na własnej ziemi niewoli się składały. Zdało się, że w tym szepcie zlały się w jeden jęk wszystkie błagania bitych, katowanych i gnębionych kmieci. Zdało się, że w tym szepcie duch pierwszego Piasta odżywa i złowrogie niesie wróżby tym, co Kainami się stali. Zdało się, że szepc ten przenika sklepienie niebieskie i staje prosty, serdeczny, łzawy a wierzący przed tronem Najwyższego.



To znów antyfona na łałach szeptu rosła, potężniała i przechodziła w groźną pieśń, brzmiącą, jak odgłos gromu, jak zapowiedź burzy, a tyle w nim było świadomości siły, tyle wiary, tyle bezgranicznego poddania się wyrokom Bożym, tyle ufność w niezawodne orędownictwo Świętej Rodzicielki, że, zdało się, iż od jednego tego głosu opadną wrzeczadze i zapory, a pruskie skamienieją żołdaci.

Strzelcy francuscy z podziwem a skupieniem wsłuchiwali się w szmery i akordy pieśni. Nie rozumieli słów, lecz odczuwali je, odgadywali.

W tylnej straży — strzelcy wszczęli między sobą ukradkową rozmowę.

— Śpiewają! — zauważył jeden.

— Flaki możnaby człowiekowi wypruć taką pieśnią! — dodał drugi.

— Anim myślał! Pół dziko to wygląda. Zbiedzone, odarte! — ozwał się trzeci i spojrzął na czwartego, który jechał z głową zwieszoną, zadumany w dźwięki antyfony, rozmarzony może myślą o chacie rodzicielskiej, o ziemi ojczyściej, o Bogu—i ozwał się zniecka:

Chciałbym wiedzieć, co oni właściwie śpiewają?...

— Co śpiewają! — odrzekł czwarty strzelec, jakby budząc się ze snu.—Patrz na nich!... Niezawodnie, to ich Marsyljanka!...

A tymczasem już do bram Częstochowy doleciały słowa:

„Módl się za nami Święta, Boża Rodzicielko“...

Generał Wagenfeld wystrzałem armatnim obwieścił zbliżanie się nieprzyjaciela!...

Częstochowa czuwała. W refektarzu klasztorным starszyzna pruska zebrała się na naradę, pobrzękując butnie ostrogami, a trzaskając szablami.

Stary jenerał Wagenfeld, mając obok siebie młodszego swego kolegę, Millera—zagaił zebranie. Wieści były niepomyślne. Armia francuska zbliża się, podchodzi... ludność miejscowa chwytta za broń. Lada chwila należy się spodziewać starcia!... Gubernator Köhler



zaleca rozważę i ostrożność, nadto spodziewa się... że Częstochowa zdoła powstrzymać nawałnicę i da czas wojskom pruskim do zebrania się na brzegach Wisły. Forteca, choć naruszona mocno zębem czasu, powinna oblężenie wytrzymać...

Wagenfeld umilkł, zaczem przemawiali kolejno generał von Miller, pułkownicy Freiburg i Avisfort, powtarzając mniej więcej słowa dowódcy. Od pułkowników przeszedł głos na rotmistrza, dwóch kapitanów, poruczników wreszcie. I cisza głęboka zapadła. Członkowie rady wojennej zapadli w jakieś jedno-myślne, wspólne a głuche milczenie. Każdy z nich jakby miał jakiś wielki ciężar na piersi, który go łamał, cisnął, a którego bał się wyznać, bał odkryć, bał wypowiedzieć. Zdawało się, że każdy tu inaczej czuje, co innego zamierza, czem innym jest zajęty, a w lukach izby klasztornej rozbrzmiewają puste, ciche wyrazy i giną, rozplywają się w ponurem świetle lojowych świec.

Po długiej pauzie, generał von

Miller ozwał się dosyć niepewnym głosem:

— Musimy coś jeszcze postanowić... z tymi... z tymi zakonnikami!...

— Prawda! — przyznał Wagenfeld i umilkł.

Oficerowie spojrzeli po sobie, niby oddając sobie wzajem pierwszeństwo słowa. Wagenfeld zachmurzył się, a chcąc dodać bodźca rozprawom, rzucił rozkazująco:

— Rotmistrz von Kasten niech wyrazi swoje zdanie.

Rotmistrz drgnął, potarł czoło i zaczął z cicha:

— Zakonnicy?!... Lepiej, żeby ich tu wcale nie było... to złe duchy tej warowni... Zdrady można się od nich każdej chwili spodziewać!... Te... te ich opowieści, te bajdy, które wpajają w służbę... w naszych nawet żołnierzy... mogą nam załogę zdemoralizować... Na takie matactwo trzeba znaleźć sposób!... Proponuję ich osadzić w lochach, uniemożliwić znoszenie się z kimkolwiek... zamknąć... zamurować... a w razie potrzeby w pień wyciąć!...



Rotmistrz z wolna się zapalał—głos jego przechodził w chrapliwy szept, ziejący nienawiścią — w oczach roztlily mu się jakieś ponure ognie, ręce ku przodowi wyciągnął, jakby chciał gryzącą go zmorę zdusić, zadławić...

Wzruszenie rotmistrza udzieliło się w jednej chwili zebrany. Czoła okryły się zmarszczkami, zacisnęły szczęki, oblicza poblewały, w sinawe strojąc się wypieki, z ocz trysnęły błyskawice — zemsty. Zemsty za ten spokój pogardliwy, okazywany im przez zakonników, za tą wiarę, która nigdy nie dała im poddać się trwodze... za to zapamiętanie, za te śpiewy, które drażniły pruskich oficerów, za te światła w kościele... za te nabożeństwa!...

Rotmistrz von Kasten odsapnął ciężko i zaczął gwałtownie:

— Tak, wyciąć ich w pień!!... To nasz jedyny ratunek!... Inaczej zginąć nam przyjdzie, albo... albo zaprzedać się nieprzyjacielowi!!... Raz przynajmniej trzeba zburzyć to gniazdo szerszeni... Takie jest moje zdanie... bo ja ich ścier-

pieć nie mogę!... Ja pozwalam sobie dziwić się dobroci Najjaśniejszego Fryderyka, że zezwolił na utrzymanie ich na miejscu!!...

— Jestem tego samego zdania! — podchwycił gorączkowo pułkownik Freiburg.—Ja gotów jestem walczyć zawsze do upadłego, krew przelać, gdy zajdzie tego potrzeba... ale... nie... z takim wrogiem!... Za nic tu ręczyć nie można!... Udają pokorę... a kto wie, czy nie utrzymują stosunków z nieprzyjacielem!... Między żołnierzami jest wielu katolików... Co katolików!... Wczoraj złapałem giefrejtera mego szwadronu, Sachsa, jak skradał się tam do nich... Zdawało mi się z początku, że może idzie przez ciekawość!... Gdzie tam!!... Wchodzi... pada na kolana!!... Modli się tam, u nich!... Mało tego! Przechodzi ten... ten ich stary herszt... Sachs podsuwa się i całuje kraj jego szaty!... Nicpoń. Poszedł naturalnie na chleb i wodę!... Lecz to jest przerażające, bezprzykładne!... To propaganda jezuicka!... Zdemoralizują nam wojsko!...



— To uniemożliwia obronę! — wtrącił generał von Miller.

— Grozi wzięciem we dwa ognie!! — wmieszał się pułkownik Avisfort. — Kto wie, czy paulini nie mają jakiego podziemnego korytarza!... Ani się spostrzemy, jak nam tu, w okopy i fosy, wprowadzą powstańców czy francuską armię!... Trzeba Częstochowę oczyścić co prędzej. Przedewszystkiem, wypędzić tę całą holołę, która się, licho wie po co, kręci około zakonników, a potem... i na nich samych sposób znaleźć...

Wagenfeld milczał. Czoło tarł nie spokojnie i ociągał się z wypowiedzeniem ostatecznego swego słowa. Rozumiał dobrze, że i von Kasten i obadwaj pułkownicy i Miller mają rację, że mówią tak, jak on sam myśli... że gdyby nie ci paulini... to obrona Częstochowy w nim samym nie budziłaby trwogi, grozy, tego dziwnego lęku, któremu się ostać nie mógł. Ich trzeba zgnieść, ich trzeba rozumu nauczyć... ich trzeba się pozbyć!... Ale jak?... Wagenfeld nie wątpił o tem, że oni... gotowi są pójść

pod miecz bez słowa skargi, bez jęku, bez oporu... i tego się bał. Ta ich bezsilność, ta ufność bijąca z ich twarzy... obezwładniała pruskiego generała...

Członkowie rady wojennej długo czekali zanim Wagenfeld przemógł się i, klasnąwszy w ręce, rzekł do stojącego u drzwi ordynansa:

— Zawołać tu przeora paulinów!

Ordynans wyszedł. Nastąpiła długa pauza zanim we drzwiach refektarza ukazała się wysmukła postać starca, spowitego białym habitem. Oczy pruskich oficerów utkwily swe ognie w zakonniku i odwróciły się!... Wagenfeld ozwał się surowo:

— Kazalem wezwać przeora!...

— Tak jest! — odrzekł mnich głosem spokojnym a poważnie brzmiącym. — Przeor stawić się nie może, odprawia bowiem wieczorne pacierze!...

Wagenfeld rzucił się rozdrażniony na krzesło.

— Cóż to?!... Opór!?! Kto waży się nie słuchać moich rozkazów?!... Ja



was nauczę!... Nie wiecie kto tu ma władzę!?

— Wiemy generale! — ozwał się mnich. — Bóg!...

— Cha, cha! — wybuchnął nagle Miller. — Można się z nimi dogadać!...

Wagenfeld zagryzł wargi i syknął przez zęby.

— Ja was proszę, żebyście mi tu kazań nie prawili! Zachowajcie sobie ewangelię dla siebie!... Bo ja wam pokażę, jak się odpowiada pruskiemu oficerowi!... Dostyc tego!... Potrzebny mi jest przeor! Chcę mu powiedzieć, co rada postanawia z wami uczynić... i jakich chce wam udzielić ostrzeżeń!... Wołać przeora!... Marsz!...

Zakonnik nie ruszył się z miejsca. Wzrok jasny, pogodny zwrócił na Wagenfelda i rzekł cicho:

— Przeor teraz przybyć nie może! Lecz, proszę, mówcie panie generale — ja mu słowa wasze powtórzę!...

— Więc bunt!?... Dobrze!... Więc daję wam pół godziny czasu na zebranie się przed odwachem... tam was okują

i zostaniecie osadzeni w lochu!... Nadto, z góry wam zapowiadam, że ktoby się opierał, na kogo bodaj cień podejrzenia padnie, że ma z nieprzyjacielem konszachty, ten będzie wisiał!... Każę takiego poćwiartować!... Pójdziecie do lochu! Na chleb i wodę! My tu nie potrzebujemy waszych błogosławieństw! Rozumiecie! Tam dla was miejsce!

Zakonnik słuchał nieporuszenie. Ani jeden mięsień w twarzy jego nie drgnął. Gdy Wagenfeld skończył, dając znak ordynansowi, aby wyprowadził mnicha, ten nagle zafrasował się czegoś i, odpychając zlekka żołdaka — rzekł z prostotą:

— A kościół?!

Wagenfeld pobladł — niespodziewane to pytanie wzburzyło go.

— Słuchaj!... Szczurze klasztorny!... Nie wyprowadzaj mnie z cierpliwości... Kościół?!... W waszym kościele my sami będziemy odprawiali nabożeństwa!... Precz nim!...

Ordynans chwycił za ramię zakonnika i wypchnął go za drzwi. Oficerowie wybuchnęli śmiechem szyderym.



— Znakomicie było powiedziane — zauważył generał von Miller.

— Świetnie! — Doskonale! — Inaczej z nimi nie można! — rozległy się pojedyncze głosy!

— On mi śmie o Bogu mówić! — burzył się Wagenfeld. — Wstrętne stworzenia! Dobrze, że nam tu o cudzie jakim nie opowiedział. Niech sobie siedzą pod kluczem!... Pan, pułkowniku Freiburg, zajmie się nimi! Kompanię piechoty pod bronią i przeprowadzić ich! Niechże pan tylko uważa, aby loch nie miał drugiego wyjścia! Pod drzwiami postawić im strażę... W razie czego, niech strzelają prosto w łeb! Tak, tak, zaraz się lżej odetchnie!... Tu inaczej nie można!... Tacy, to gorsi od nieprzyjaciela!... Wierzcie mi, panowie, z ochotą poszedłbym dalej... i nie pożałowałbym im ołowiu... atoli muszę wyrzec się tej myśli, chociaż prawo wojenne uprawnia mnie do wydawania wyroków i zwoływania sądu wojennego!... Właściwie nie wiadomo jeszcze, jaki obrót wzięć mogą losy wojny. Armia rosyjska stoi

w pogotowiu, może francuzów powstrzymać... a w takim razie bezwątpienia wytopienie paulinów było by nam nie na rękę!... Oni tu mają szczególniejsze jakieś zachowanie, do tego miejsca zaboron prostaków przywiązuje najdziwniejsze podania, setki rozmaitych legend... Poszłyby skargi do Berlina, protesty nawet do Rzymu... Rozwaga nakazuje pohamować nasz słuszny gniew... Ale, jeżeliby się co okazało... to pierwszy będę nieugiętym!... No, no... zresztą pobyt nasz tutaj... zawsze się opłaci... skarb pruski zyska niespodziewany zasilek, bo czy tak losy pokierują, czy inaczej... skarby wyjadą do Berlina, tam im będzie i bezpieczniej i wygodniej...

Wagenfeld chciał dłużej jeszcze perorować, lecz niespodziewane zjawienie się służbowego oficera, przerwało mu wątek myśli.

Co tam takiego?! — zagadnął niechętnie Wagenfeld.

— Pikieta nasza pod Grabówką starła się z przednią strażą armii nieprzyjacielskiej!... Wachmistrz z jednym żoł-



nierzem uszli... drugi żołnierz... prze-  
padl!...

Wagenfeld powstał z miejsca, a za je-  
go przykładem inni oficerowie.

— Panowie!... Nastanowiska!... Zdwo-  
ić strażę!... Kto wie, co nocy dzisiejszej  
wypadnie. Pułkownik Freiburg, proszę  
bez ociągania załatwić się z mnichami...  
a pan, panie Avisfort, zajmiesz się oczyszcze-  
niem podwórza klasztornego... Kto tylko  
zbyteczny, wypędzić za bramy... musimy  
być sami... Raz trzeba skończyć z tym  
bezludem!...

Oficerowie skłonili się dowódcy  
i wyszli. W refektarzu pozostał tylko  
Wagenfeld z Millerem.

Stary komendant Częstochowy znów  
się zasępił, i, jakby odpowiadając same-  
mu sobie, ozwał się:

— Krótko mówiąc, czeka nas tęga  
przeprawa!...

— Niezawodnie! — przyznał Miller. —  
Oby tylko wszystko na co się zdało!...  
W tym kurniku zgnieść nas mogą!...

— Naturalnie!... Eh!... Wierz mi, ko-  
lego, wiele bym dał za to, żeby być

w szczerem polu... Tam przynajmniej  
ma się ruch!... Wiem, że mogę pójść  
i tu i tam!... Ta cała wojna wogóle mi  
się nie podoba!...

— Ani mnie!...

Z tym wściekłym Napoleonem le-  
piej było nie zaczynać!..! To zwierz!...  
Dziki, drapieżny!... A my nawet planu  
nie mamy... Przyznaj, kolego!... Nasz  
generalissimus chyba się przerachował...  
Pozostawia nas z dwudziestoma armata-  
mi... z tymi czterema szwadronami jazdy  
i tysiącem piechurów... Na co?... Aby-  
śmy... nie wiem?!... Wpadli w ręce fran-  
cuzów!... Lubeka nie mogła dać ra-  
dy z tak wielką załogą, Gdańsk się  
chwieje...

— I pewno godziny jego policzo-  
ne! — wtrącił Miller.

— A my tu, garść taka, mamy się  
potykać z francuzami, którzy nas kasz-  
kietami zarzucić poprostu mogą!... Już  
to generał Roketty razem z Pletzem  
i Köhlerem nieszczególny mieli pomysł...

— Mam to samo przekonanie!...  
Przyznam się, że mnie to nawet irytuje!...



Byłem przekonany, że nadciągną do nas oddziały z pod Łęczycy i Kutna! . Gdzie tam, zawrócili prosto na Warszawę!... Pozostawili nas prawie odciętych od armii!... Dwóch generałów na ćwierć kolumny!...

Wagenfeld strzepnął rozpaczliwie rękoma i jął szykować sobie lulkę. Miller poszedł za jego przykładem.

— Roketty, zdaje się, nie odpowiedział nawet na ostatni raport kolegi? — zauważył po chwili Miller.

Wagenfeld splunął ze złością:

— Mój kolego, tu nie ma co ukrywać!... Czy odpowiedział?... Odpowiedział, ale tak, że jeszcze kiedyś zda mi z tego rachunek... poprostu... dał mi do zrozumienia, że żołnierz powinien spełniać przedewszystkiem rozkazy, a nie wdawać się w rozprawy i żeby miał tę pewność nawet, że ani jeden z załogi Częstochowy z życiem nie ujdzie — to postanowienia nie zmieni!!...

— Bo jego tu nie ma! — zauważył sarkastycznie Miller.

— Ba! Kuryer ostatni zapewniał,

że załoga Warszawy jest przygotowaną najzupełniej do przeprawy przez Wisłę... Głupia sytuacja!...

— Najzupełniej!...

— A kolega nie przewiduje, że możemy się znaleźć w położeniu bez wyjścia?!...

Miller spojrzął z pod oka na Wagenfelda i odrzekł wymijająco:

— Rozmaicie może się zdarzyć... czasem... okoliczności zmuszają...

— No! Niechby do tego przyszło!... Przysięgam koledze... że tym nicponiom, mnichom, nie daruję... i przedewszystkiem postaram się, aby im zabrakło...

Wagenfeld urwał nagle. Tuż za oknami rozległ się przeciągły śpiew. Miller skoczył do okna i zadrżał na widok obrazu, który się oczom jego przedstawił.

Przez podwórzec klasztorny ciągnął sznur mnichów z zapalonymi świecami z przeorem pośrodku, niosącym pod baldachimem monstrancję... Paulinów otaczali dragoni z dobytymi pałaszami. Po-



chód zakręcał około kościoła i nikt powoli w rozwartych drzwiach lochu.

Wagenfeld podszedł za Millerem do okna i wybuchnął gniewem.

— Ten von Kasten zwaryował!... Jaką procesyę pozwolił im urządzać!... Patrz, kolego, idą sobie, jakby odprawiać jakieś nabożeństwo!... To nie do darowania!... Najwyraźniej... honorowa eskorta!...

— Co za arogancki spokój w tych ascetycznych twarzach!... Co za pewność siebie!...

— Ja ich złamię!!—zagroził z wściekłością Wagenfeld i klasnął na ordynansa.

— Zawołać mi porucznika von Wesendorf!...

Ordynans wyszedł, a po chwili zjawił się w refektarzu spasiony, krępy, barczysty porucznik.

— Generał raczył mnie wezwać!?

— Jesteś mi pan potrzebny!... Przedewszystkiem obejmiesz ogólny nadzór nad tymi... mnichami... Możesz się naturalnie nie śpieszyć z wydawaniem im

racyi... bo gdyby którego zabrakło... to nic nie szkodzi!... Rozumiesz mnie?!...

Małe oczka Wesendorfa błysnęły złowrogo.

— Rozumiem — generale!...

Nadto!... Wybierz kilku ze sprytniejszych i obszukaj dobrze cele klasztorne mnichów!... Szyję daję za to, że mają gdzieś jeszcze ukryte pieniądze!... A kościół każ zatarasować tymczasem.

Porucznik wyszedł. Wagenfeld padł ociężale na krzesło.

— Jestem zmordowany, zmęczony!...

— Duszno tutaj!... Może kolega wyszedłby razem?

— Masz słuszność!... Chodźmy!...

Pruscy generałowie przypasali pasy i wyszli w podwórzec klasztorny.

Zgiełk i tumult panował tu nie do opisania. Wieść o zbliżeniu się armii Napoleona, wypłoszyła ze wszystkich zakątków kraju pacholków i wiernych poddanych króla Fryderyka. Kto z prusaków lub sług pruskich mógł a miał czem, ratował się ucieczką. Każdy dążył, gdzie tylko zdało mu się, że może



być zabezpieczonym od armii nieprzyjaciela, a bardziej od odwetu za dziesięciolecie bezprawia i gwałtów. Dla wielu Częstochowa, jako miejsce obronne i obsadzone pruską załogą, wydała się najlepszym czy najbliższym schroniskiem. Tu urzędnicy *amtów* zgromadzili swój ruchomy dobytek, tu rodziny oficerów pruskich szukały przytulku, tu polacy a żydki, będący na żołdzie Fryderyka, zjechali z żonami i dziećmi. O pomieszczeniu jakimś, dachu nad głową nie było mowy nawet. Jak kto mógł, na wozie lub pod wozem szukał schronienia, snu, wypoczynku. Prócz tego jeszcze snuło się tu wiele bardzo postaci ciemnych, ponurych, nieznanym nikomu, kalek z dalekich stron przybyłych, pielgrzymów, których popłoch wojenny u bram Częstochowy zatrzymał, wreszcie dziesiątki żebraków, od lat w zakamarkach Jasnej Góry żerujących.

Między tą ciżbą ludzką niepodobieństwem prawie było myśleć o zaprowadzeniu ładu a porządku. Zaciągające się warty bagnietami musiały sobie toro-

wać drogę. Wszystkie zarządzenia Wagenfelda nie doprowadzały do celu. Nakazał był początkowo formować spisy tych, którym wolno w murach fortecznych pozostać, chciał dzielić zbiegów, część ich usuwał przemocą i mimo to opanować tego tłumu nie mógł. Już się zdawało prusakom, że przynajmniej od nędzy a żebractwa uwolnić się zdołali, lecz gdy tylko pościg osłabł, znów niby z pod ziemi wydobywały się jakieś baby stare, czolągające się a ledwie łachmanami okryte, skulone postacie dziadów i dziesiątki najrozmaitszego mrowia ludzkiego.

Pułkownik Avisfort, otrzymawszy kategoryczny rozkaz Wagenfelda o oczyszczeniu podwórza klasztornego, zarządził otworzenie bram i, otoczywszy ciżbę, raz po raz szarżował, nie żalując ani płazów ani cięć.

Ztąd zgiełk i przerażenie zbiegów. Wypędzano wszystkich bez wyjątku, czy kto się legitymował, czy nie — czy kto kłął i błagał po niemiecku, czy po polsku. Dragoni nacierali coraz natar-



czywiej. Brama klasztorna wyrzucała na stoki Jasnej Góry skotłowane masy, złożone z ludzkich ciał, tłumoków, bryk, wozów i koni.

Wypędzeni z klasztoru zbijali się w ciżbę przed murami i napelniali powietrze skargami, jękami, nie żalując swoim niedawnym obrońcom obelg i pogrózek.

Wagenfeld z Millerem, chcąc uniknąć zetknięcia z rugowanym tłumem, zawrócili na mury, w dalszym ciągu utyskując na zarządzenia generała Rocketty. Tu dopadł ich rotmistrz von Kasten.

— Generale!... Francuzi o cztery wiorsty od Częstochowy! Otaczają nas!

Wagenfeld zaklął z cicha.

— Dyabeł nie człowiek! Zkądże a wiadomość!?

Żołnierz, który został pochwycony przez francuzów pod Grabówką, powrócił... Wypuścili go sami, aby nam zwiastował, że za godzinę, za dwie przypuszczają szturm... Ze Stradomia i Wy-

czerp również placówki już powróciły!... Napoleon sam jest przy armii...

— Jest Bonaparte?!...

— Żołnierz przysięga, iż go widział na własne oczy!...

— Bonaparte! Napoleon! Tu! Słyszysz kolego?!...

— Piekielne zwierzę! — przytwierdził zaniepokojony Miller.

— Otrzymam jakie rozkazy, generale?!...

— Co za rozkazy?! — oburknął się Wagenfeld.—Przygotowania do odparcia szturmego zlustrować i czekać... Ale, ładnie się pan załatwił z paulinami!

— Generale?!

— Dosyć! Opatrzeć bramę! Przygotować lonty. Skóry wołowe namoczone mieć w pogotowiu. Rezerwa niech stanie pod bronią.

Rotmistrz odszedł. Wagenfeld spojrział przeciągle na Millera:

— I co teraz?!...

— Cha! No, teraz przyjdzie nam pewno znieść wszystkie skutki rozporządzeń Rockettygo i Pletza!...



— To są wyraźne drwiny. Tam, pod Jeną, taka wielka armia nie mogła się ostać... Bierz lichu! Niech się dzieje co chce! Niech kolega rzuci okiem na wały... Ja, tymczasem, tu zostanę! W Grabówce są, więc powinni by nadciągnąć z tej strony. Po skończonym obchodzie, proszę tu, do mnie.

Miller odszedł, a Wagenfeld wspiał się powoli na okop i stanął na murze. Ciemność otaczała Częstochowę. U stóp Jasnej Góry w bezładnym, głuchym szmerze kotłował się tłum wypędzonych za bramy zbiegów. Pod odwachem rozległy się krótkie, ucinkowe dźwięki bębnow. Rezerwa piechoty stanęła pod bramą w pogotowiu. Tu i owdzie na murach, niby błędne ogniki, gorzały zapalone lonty. Giefrejterzy, postukując halabardami, znaczyli obchód nieustanny szeregów. Po za nimi oficerowie kupili się w gromadki i szeptali między sobą.

Wagenfeld zatopił wzrok w czarne horyzonty. Dobył lunety. Nic! Hen tam, daleko migotało światelko w chacie kmiecia... bliżej świeciły się okna

klasztoru Świętej Barbary. Opodal znów jakieś blaski znaczyły nędzne lepianki i domostwa Starej Częstochowy... a zresztą noc, noc czarna i cisza.

Aż się Wagenfeld zadziwił. Napoleon był tuż... o kilka wiorst ledwie, a nic jego obecności nie wskazywało!... Pewno zajęty marszem flankowym, chce najpierw otoczyć, a później zacisnąć pierścień i zgnieść!... Czai się ten rozbojnik, aby napaść tem pewniej, tem lepiej dosięgnąć.

Starego generała ogarnął niepokój i zniechęcenie.

— Co tu za wojna! Szkoda tylko ludzi i prochu. Młody Fryc porwał się z motyką na słońce... i nawet przyzwoitego pokoju podpisać mu nie pozwalają!... *Donner Wetter!!* Źle było mu siedzieć spokojnie!... Królowa się wdała! Już to z babami zawsze taki koniec bywał! Było państwo całe, było ziemi a dobrobytu po uszy... Małemu Frycowi zachciało się iść w ślady Wielkiego!...

Im dłużej zastanawiał się Wagenfeld nad swoim obecnym położeniem,



tem go większa złość i gorycz ogarniała. Co on tu poradzi, co znaczy jego opór... chyba rozwścieczy nieprzyjaciela... rozbestwi go i haniebniejsze warunki kapitulacji sprowadzi! Tu przyszedł Wagenfeldowi na myśl paragraf dwieście ósmnasty ustawy o służbie polowej... „Każdy komendant — mówił paragraf — któryby oddał twierdzą, nie zmusiwszy nieprzyjaciela do przejścia przez wszystkie roboty oblężnicze i przed odparciem przynajmniej jednego szturm, przez przystępny wyłom do głównego obwodu twierdzy, karany jest śmiercią!“ — Lepiej niekiedy być porucznikiem! Zreszta, niech się co chce dzieje... Czy tak, czy owak, musi się to skończyć!! Byleby już raz nadeszli...

Wagenfeld rzucił okiem w dal i jakby na słowa jego trysnął snop światel... i rozwinął się w długą, węzowatą wstęgę, ginącą aż za wzgórzami. Równocześnie prawie rozległy się dźwięki jakiejś pieśni uroczystej, tryumfalnej, przejmującej.

Wagenfeld jął nadsluchiwać! Naraz

zatrząsł się całym ciałem. Niby echo tamtej pieśni tuż za plecami jego posłyszał chór głosów rzewnych, smutnych, a głębokich...

Odwrócił się za siebie!..

Kościół Jasnogórski bił potokami światła i rozbrzmiewał pieśnią na cześć swej Opiekunki a Obronicielki.

Pruski generał uląkł się. Pot zimny wystąpił mu na czoło. Śniło mu się czy marzyło?! Paulini zamknięci, wtrąceni do lochów... A w kościele brzmiały organy, a chór się wzmagał, potężniał!..

Oczy Wagenfelda znów zwróciły się mimowolnie ku horyzontom, a tam, na wzgórzach, już nie pochodnie ale mnożyły się ogniska, otaczając wieńcem płomieni całą Jasną Górę.

Wagenfeld skoczył ku pierwszej armacie i zakomenderował „*feuer!!*“

Huk wstrząsnął falami powietrza, zadrżały stare mury głośnie chrobotem odłamków, cegieł, witając dobrze im znane dźwięki... Im nie nowina!..

Do Wagenfelda zbiegła się starszyzna.



— Są? Już są!? — pytał niespokojnie Miller.

Wagenfeld wskazał mu na ogień w dali, a potem na światło bijące z kościoła. Prusacy umilkli.

— Kto ich tam wpuścił?!... Kto ważył się uwolnić tych mnichów! Von Kasten!!...

— Jestem generale!

— Także to spełniasz dane ci rozkazy!

— Generale — tłumaczył się blady jak chusta rotmistrz. — Nie pojmuję, co się stało! Oglądałem lochy—straż do tej chwili strzeże wyjścia! Czary jakieś...

— Niepojęte rzeczy! — zauważył Miller.

Wagenfelda wściekłość nagle opadła. Był zły na siebie, na Rokettego, Pletza, Köhlera, króla, na swój los, na swoich podkomendnych.

— Dosyć tego! Widzę, że i wy, panowie, macie ochotę uwierzyć w cuda! Zostawić ich — rozprawimy się z nimi później. Tymczasem postawić straż przy wrotach kościelnych, żeby się tu nie po-

kazywali! Uderzyć w bębny! Zagłuszyć mi to krakanie! Wystrzałów parę jeszcze. Niech się dowiedzą, że czuwamy!!... Panowie do oddziałów! Na miejsca!!...

Po za murami Częstochowy zawarowały przeraźliwie bębny, czarne paszcze armat zionęły ogniem... Powstał huk i łomot ogłuszający, przeciągły, odbijany przez echa wszystkich wzgórz okolicznych... A jednak po przez ten ryk złowrogi, nie milknący... przebiła się pieśń i unosiła wciąż i akord za akordem śłała pod niebieskie sklepienia.

Wagenfeld spojrział przez lunetę. Wszelkie wątpliwości ustały. Przy ogniskach najwyraźniej uwijała się konnica francuska... tu i owdzie widać było wysokie kity u czapek starej gwardyi. Francuzi śnać rozkładali się dopiero obozem, bo coraz to ognisk przybywało. Jeszcze chwila a wzgórza zabłysły setkami światel, znacząc na niebie wielką lunę, pośród której, niby plama czarna, zarysowywało się położenie Częstochowy.

Wystrzały pruskiej artyleryi umilkły.



Wagenfeld stał nieruchomy, bezwładny. Co bo te kilkanaście dział, co te mury znaczyły wobec tego morza... wojska!... Do rana może śladu nie będzie tego... kurnika!...

Wśród chwilowej ciszy u stóp wzgórza rozległy się dźwięki trąbki.

— Jedzie parlamentarz, generale! — zaportował pułkownik Freiburg.

— Wpuścić go!

Wrzeczadze i zapory odemknięto. Naprzeciw nadjeżdżającego parlamentarza wyjechał porucznik Wesendorf, powitał ukłonem oficera francuzkiego — związał jemu i towarzyszącemu z białą chorągwią żołnierzowi oczy i skinał na swoich podkomendnych, aby konie ujęli za cugle i wprowadzili w mury forteczne.

W refektarzu zebrała się znów rada wojenna. Wagenfeld przedłożył jej przywiezione przez parlamentarza pismo odręczne wodza francuskiego, brzmiające dosyć lakonicznie:

„W imieniu Najjaśniejszego Cesarza Marszałek głównej armii graf D'Ostoja

Voschin wzywa Imc generała komendującego załogą Częstochowy, aby w ciągu dwóch godzin poddał się; broń i amunicję wydał. W przeciwnym bowiem razie, nakazanym zostanie natychmiastowemu a nieustającemu szturmowi, przyczem nikt z życiem nie ujdzie. Zastrzega się, że w razie najmniejszego ociągania się żadne późniejsze odezwy ani parlamentowania przyjętemi nie będą“. Tu następowala jakaś pieczęć dziwaczna i dwa zamasytne zygzaki, mające reprezentować podpisy.

Członkowie rady wojennej w ponurem milczeniu wysłuchali słów wezwania. Nikt nie chciał pierwszy zabrać głosu. Generał Miller z właściwą sobie przebiegłością, nie chcąc się zdradzić przedwcześnie ze swoimi poglądami, ozwał się, niby chcąc coś powiedzieć:

— Marszałek Voschin!? Nie przypominam sobie takiego nazwiska!

— Eh! — przerwał niecierpliwie Wagenfeld — także wątpliwość. Chyba znasz pan o tyle Bonapartego, że wiesz o jego sposobie wywyższania ludzi... dziś ka-



pral, jutro kapitan, a pojutrze feldmarszałek!! Nie ma o czem mówić!!... Panowie! Proszę natomiast... o zastanowienie się głębokie nad tem oto przedstawieniem, bo aczkolwiek prawo przyznaje mi możność samodzielnego rozstrzygnięcia kwestyi, atoli nie chciałbym niczego przedsiębrać bez waszej zgody. Sytuacyi naszej nie widzę potrzeby ukrywać... Jesteśmy otoczeni ze wszech stron przez sto razy liczniejszego od nas nieprzyjaciela. Szans nie ma żadnych! Pozostaje pytanie, czy i jaką korzyść odniesie nasza ojczyzna z naszej śmierci na gruzach Częstochowy?... Czy większy może mieć z nas pożytek, jeżeli cało wyjdziemy... czy... gdy się tu zagrzebujemy?!... Wierzcie mi, panowie, mnie samemu tak życie tu zbrzydło, iż każdej chwili gotów jestem leż tu na placu... ale muszę iść za głosem obowiązku! Radźcie panowie... Proszę!!...

Oficerowie milczeli.

— Pułkowniku Freiburg!

— Ja?! — powtórzył zaskoczony pułkownik. Nie jestem w możności... do-

prawdy położenie jest bardzo... bardzo... Jak pan generał uważa.

— A pan Avisfort?...

— Cóż, jesteśmy obłączeni!... Punktu wyjścia nie widzę!... Wywody pana generała są bezwarunkowo uzasadnione...

— Proszę o wnioski! O jasne wypowiedzianie swych zapatrywań! — przerwał surowo Wagenfeld, rozumiejąc, że tu każdy chce ciężar odpowiedzialności zrzucić na niego. — Rotmistrzu von Kasten!...

— Mnie się zdaje, że czy prędzej, czy później, spotka nas ten sam koniec!... O tyle stać by się mogło inaczej, o ile Bonaparte zwykł dotrzymać danego słowa... Zdaje się, na przykład, iż gdy przed kilku miesiącami sam skłaniał się do załatwienia zatargu na drodze pokojowej... teraz ośmiela się odrzucać przedłożenia najmiłościwiej nam panującego króla!... Kto wie, czy nie postąpi tak i z nami...

Von Kasten uciał nagle. Wagenfeld spojrzal przyjaźnie na młodego rotmistrza i rzekł po namyśle, ważąc każdy wyraz:



— Widzę, że, niestety, nie jednemu z nas brak odwagi do wypowiedzenia się... I uczucie to usprawiedliwiam. My, żołnierze sławnej armii pruskiej, zbyt przyzwyczajeni jesteśmy do zwycięstw... abyśmy mogli się oswoić z myślą poddania. Zwycięstwo... tak zrosło się z tym mundurem, że przez gardło nie może nam przejść wyraz... kapitulacya!... Jednakże, panowie, czas nagli... postanowić coś trzeba. Proponuję tajne głosowanie, jak na wojennym sądzie... Kto jest za obroną, niech rzuci gałkę czarną, a kto... inaczej myśli, niech składa gałkę białą... Poruczniku... von Wesendorf! Zarządzić głosowanie.

Wesendorf przygotował dwa kaszkiety, — rozdał gałki między członków rady, poczem zebrał głosy i podał je Wagenfeldowi.

Wagenfeld odsłonił kaszkiet i wysypał gałki na stół... Wszystkie były białe!!...

Prusacy spojrzeli po sobie, zwiesili ponuro głowy. Wstyd ich zdjął przed samym sobą! Zdawało im się, iż w kil-

ku czarnych gałkach, rzuconych przez junaków niższych stopni, schronią własne tchórzostwo, zamaskują zajęcze serca, że potem powtarzać będą na uboczu, brzękając ostrogami,—ja... chciałem bronić się do ostatniej kropli krwi!! Ale przegłosowali... nie dali!... — Fatalność!... Sam Wagenfeld się zmieszał. Miller ledwie mógł ukryć przerażenie... Ta jednomyslność była uwłaczającą! Gdybyż ją można było przewidzieć. Ho! Wówczas i Wagenfeld i Miller, Avisfort i Freiburg, Kasten i Wesendorf... każdy wotowałby za obroną! Bali się, żeby... przypadkiem szala nie przeważyla się na stronę opętanych desperatów... a tu wagi nie było! Rzucono garść głosów i szala z trzaskiem a stukotem uderzyła o hańbę.

Wagenfeld przemówił pierwszy:

— Panowie!... Ta... jednomyslność... powinna... dodać nam otuchy w tej ciężkiej chwili!...

Miller westchnął:

— Ta jednomyslność wesprze nas, gdy ludzie źli a przewrotni zechcą nas



potępić! Panowie, wszak ratujemy... około dwóch tysięcy ludzi... Najjaśniejszemu królowi naszemu... ludzi, których on tak bardzo w tej chwili potrzebuje!...

Wagenfald zatrzymał się, czując, że w tej chwili mówi coś, w co sam by nie uwierzył, lecz nie tracąc panowania nad sobą, ozwał się dalej krótko:

— A zatem nie pozostaje nam nic innego, jak ułożyć punkta kapitulacji, bo oczywiście obecnych żądań Napoleona zadowolnić nie możemy!...

— Naturalnie!—My podamy warunki! Ho, ho! — Co on sobie myśli! — Z honorem musimy wyjść... z honorem!!— zawołano dokoła groźnie.

— Pulkowniku Freiburg!... Proszę notować!... Zgodzimy się na ustąpienie cesarzowi... nie!! Trzeba pisać ostro!... na ustąpienie armii francuskiej Częstochowy... na warunkach, że wojsko nasze znajdujące się w warowni... wyjdzie z bronią w ręku i ze sztandarami... i... z taborem!!... Rotmistrzowi von Kasten, każ pan natychmiast ładować na podwozy skarb paulinów! Proszę pisać! Więc

na czem to stanęliśmy!? Aha!... z taborem... Armie przy spotkaniu będą się salutowały... Zawieszenie broni obowiązywać będzie w przeciągu czterdziestu ośmiu godzin!! Dosyć!... A co?!... Niech się temu kusemu generałowi nie zdaje znów, że pozwolimy sobie grać na nosie!!... Proszę! Oto mój podpis! Zawołać mi parlamentarza.

Do izby obrad wszedł wysoki jak dąb oficer francuski i stanął wyprostowany przed Wagenfeldem, ponurem mierzając go spojrzeniem, co mu znów nie przeszkadzało poprawiać sobie co chwila mundura, który jakoś był dziwnie ciasny i opięty.

— Panie kapitanie!—ozwał się Wagenfeld łamaną francuzczyzną. — Tu jest odpowiedź dla pana marszałka. Proszę go zapewnić, że od niej odstąpić nie możemy i że oczekujemy jego zgody!!... Porucznik von Wesendorf pana przeprowadzi.

Oficer francuski mruknął coś pod nosem, co mocno zakrawało na „wedle



rozkazu“! i wyszedł za pruskim porucznikiem.

Po oddaleniu się parlamentarza, w radzie zapanowało ożywienie.

— Cóż to za oficerów ma ten Bonaparte! Poprosto ordynarny, prosty jakiś chłop i nic więcej!—perorował generał von Miller.—Nieokrzesane zwierzę!!...

— Pewno jakiś wczorajszy ulicznik, opryszek... komunista! — dodał Wagenfeld — i to jest cała taka jego armia! Pędzi przed sobą ten pastuch takie stado bestyj... no i bestye tratuja przed nim! Ale to nie żołnierka nie rycerstwo!... Wyobraźcie sobie panowie, że, na przykład, na najdzielniejszy pułk piechoty napada tabun zwierząt... który idzie na oslep... bez taktyki, bez planu... i co wówczas męstwo pułku, co poświęcenie się może znaczyć?! Ze zwierzętami się nie walczy!...

Wybuch szczerego śmiechu był odpowiedzią na słowa Wagenfelda. I już dalej poszły żarciki, szyderstwa i ochota, jakiej dawno nie było wśród pruskich oficerów. Lżej im jakoś było na sercu.

Wyjdą z tego samotrzasku, wyjdą cało, a tam później już się poradzi!!...

Jeden z drugim zajęli się już pakowaniem rzeczy, ściąganiem taboru. Za oficerami już i żołnierz oglądał się, jakby chudobę swoją zebrać a może i powiększyć... Przed klasztorem, ze skarbcza, wyciągano złote a srebrne naczynia a aparaty kościelne i ładowano na wozy... wytaczano porzucone wasagi. Gwar powoli zaczął napelniać Częstochowę, zda się, życie nowe wstąpiło w załogę pruską.

Wagenfeld równocześnie zwierzał się Millerowi:

— Uważa kolega, bez tego *ultimatum* nigdybym był nie ustąpił z Częstochowy. Kapitulować... to kapitulować z godnością! Z pełnią wojskowych honorów, inaczej to lepiej śmierć!... Gdybym tak jeszcze mógł tym mnichom!... Uważa kolega, oni sobie ciągle śpiwają!!...

— Należałoby się im!

— Hm! Rzeczywiście. Tylko cóż... ten... ten... udaje katolika. Mogliby się



poskarżyć... Lepiej nie dawać powodu. Stać twardo na gruncie warunków i... koniec!... To moja zasada! Od niej bym nie odstąpił... No... a zdaje mi się, że i tak ukarani będą... no, bo skarbiec wyjedzie... a to ich zaboli...

W godzinę parlamentarz francuski powrócił. W bramie Częstochowy powitali go prusacy szmerem zadowolenia, był on dla nich jasną zapowiedzią rychłego uwolnienia.

Członkowie rady wojennej przyjęli uroczysty wyraz twarzy, spoglądając z butą na ten papier, który musiał za dość uczynić ich żądaniom, a który w tej chwili właśnie rozwijał z powagą sam Wagenfeld.

— Panowie! Feldmarszałek nadsyła nam odpowiedź! — Proszę posłuchać...

Wagenfeld rzucił okiem na pierwsze wyrazy odpowiedzi i pobladł, ręce mu drżeć zaczęły... tchu mu zabrakło.

— Co... co... to zwierzę pisze?! — bąknął.—Kolega von Miller... odczyta!...

Miller wziął podany sobie papier i jął czytać cicho a niewyraźnie:

„Oświadczam panu komendantowi załogi pruskiej w Częstochowie... że żadnych warunków nie przyjmuję!!... Broń na placu złożyć natychmiast i na tem koniec. Niech komendant będzie kontent, że puszczę go z załogą na wolność. Inaczej za godzinę szturm! Będziecie wystrzelani co do nogi...” Podpisano... „...leon...”

‘Leon!?’—powtórzono chórem.

— Oczywiście... Napoleon!—objaśnił generał von Miller.

— To... to... haniebnie! — wybuchnął Wagenfeld!—Drwi z nas!... Bez broni... wyjść jako tłum zdezorganizowany... zbezczeszczony!... Panowie to nieszczęście!!...

Członkowie rady stali bladzi, oniemieli. Wagenfeld wpadł nieomal w rozpacz.

— Panowie! Co poczniemy?! Radźcie panowie! Co począc! Tu można się spodziewać wszystkiego!?

Nikt nie śpieszył z odpowiedzią. Wagenfeld ręce łamał a pięści zaciskał.

— Radźcie, panowie... na nic podobnego zgodzić się nie możemy...



— Możeby... przedłużyć układy, ustąpić salutowania! — bąknął von Miller.

— Przedłużyć! — zachnął się Wagenfeld. — Nie widzisz, kolego, co ten pies tu pisze!... pół godziny czasu daje do namysłu!! Panowie, to jest nikczemne. Z tak przemagającą siłą stawać i rzucać się na garstkę żołnierzy odciętych!... To bezecne... na to zdobyć się może tylko taki prostak, jak... jak... ten!...

Wagenfeld pienił się. Oficerowie stali bezradni, aż nagle wybuchnęli wszyscy jednocześnie potokiem przekleństw i obelg dla całej armii Napoleona.

— To podejście!! — Jesteśmy zgubieni! — Zdemoralizował nam załogę! — Rozbójnik! — Lotr!!...

Wzburzenie, a raczej popłoch, wzmagił się coraz bardziej. Jedni układali co prędzej nowe warunki kapitulacyi, drudzy biadali nad czekającym ich losem, trzeci napelniali refektarz klasztorny wrzaskiem i krzykiem. Wagenfeld do reszty stracił panowanie nad sobą. Ani mu w głowie nie było upomnieć się

o należne mu uszanowanie ze strony podwładnych!... On, który dawniej żywszego tonu nie znosił, a karcił oficerów za odruchowy nieraz wykrzyknik... teraz nie baczył na nic.

Widmo hańby wyciągało doń ręce. Hańby nieubłaganej, niezatartej. Za nią stała wieczna niełaska królewska, zapomnienie... nicość... Ale i za nią stało życie, a do tego życia on się rwał jeszcze... i bał się tych laurów i wawrynow, bo z poza nich wyzierała szyderczo wykrzywiona czaszka kościotrupa!

Na ten zamęt wpadł do refektarza oficer służbowy.

— Generale! W obozie nieprzyjacielskim niezwykle poruszenie!... Armia francuska wykonywuje jakieś ruchy, których trudno rozpoznać!...

Wagenfeld, a za nim członkowie rady wybiegli z refektarza i rzucili się ku wałom. Wyciągnięto lunety, wyteżono wzrok. Dziwny im się widok przedstawił.

Wśród morza ognisk, płonących na wzgórzach, okalających Jasną Górę, su-



nał jakiś pochód witany gromkimi okrzykami. Dookoła pochodu uwijała się francuska konnica, otrębując widocznie rozkazy. Rzecz, zdaje się, nie ulegała dociekaniu. Nie kto inny, tylko Bonaparte musiał objeżdżać szeregi i wydawać ostatnie polecenia... Chwila jeszcze, a od tych ognisk zerwie się uzbrojone mrowie i zaleje tę małą wysepkę.

Wagenfeld wyciągnął pięść ku ogniskom i zgrzytnął zębami.

Tymczasem w szeregach obrońców Częstochowy rozległ się lekki szelest, niby wiew jesiennego wiatru... Szelest wzmagął się... cichł, znów się zrywał, aż w końcu zamienił się w złowrózby, nieokielznany pomruk...

Wagenfeld go rozumiał. Żołnierz zdemoralizowany nadzieją rychłej kapitulacji... lada chwila, mógł odmówić posłuszeństwa.

Stary komendant dłużej się nie namyślał... Porwał za szpadę, dobył ją, chwycił oburącz, oparł na kolanie i nacisnął.

Stal twarda, hartowna nie dała się

zmóżdż od razu. Prężyła się, gięła, ciągnęła... aż prysła z suchym trzaskiem...

Wagenfeld rzucił kawały szpady za mur, i rzekł uroczyście do otaczających go oficerów:

— On mojej szpady nie dostanie!!...

W słowach tych tyle było głębokiego przeświadczenia o własnym heroizmie—tyle tragizmu a tyle spartańskiego poświęcenia... że sam Wagenfeld zdumiał się własnej szlachetności. Scevola, prążący dobrowolnie rękę w ogniu, Leonidas, hardo witający zgon niechybny, nie wyglądał inaczej.

Wrażenie było silne. Jak tłum gawiedzi, który, stojąc w niemem a bezsilnem oczekiwaniu, wygląda pierwszego uderzenia... aby rzucić się i rozszarpać upatrzoną ofiarę... tak załoga pruska czekała tylko tego znaku.

Jakoż zakotłowało się nagle na murach Częstochowy. Wyciągnięte linie żołnierzy złamały się, skrzyły i porwały na strzępy. Z wrzaskiem a rykiem jęto rzucać karabiny, zdierać z siebie ładownice, łamać halabardy, kruszyć pa-



łasze. Karne jeszcze przed chwilą szeregi zbiły się w ciżbę rozhukaną, niesforną... Oficerowie nie dali się wyprzedzić...

Tłum żołnierzy jest także tłumem, gotów na jedno skinienie umrzeć z bronią w ręku lub bez niej... uciec. Przykład działa tu piorunująco i niezawodnie!... Wagenfel poszedł za innymi... a za nim jego żołnierze!...

General von Miller chciał choć do ostatka zachować pozory dobrowolnej kapitulacji i zwrócił się do Avisforta i Freiburga, aby zarządzili wywieszenie białej chorągwi i odesłanie parlamentarza. Rozkaz był spóźniony. Na murach Częstochowy powiewała już biała płachta, nie wiadomo czyją zawieszona ręką... parlamentarz był w drodze do obozu, a pruskie żoldactwo odwalalo z zaciekłością gruzy i belki pod wrotami, jakby chcąc, by hańba pełnym popłynęła korytem...

Inna partya prusaków, rozstawszy się z karabinem a pałaszem, dorwała się wozów ładownych skarbem klasztornym

i zaczęła je rabować, łamiąc co się dało i krusząc, byle coś ze skarbów ukryć za pazuchy mundura, w mantelzaku a choćby i kamaszach.

Aż tu od dalekich ognisk, na wzgórzach, wyciągnął oddział konnicy francuskiej. Oddział nieliczny, boć tu nie o podboje szło, lecz o dopełnienie formalności odebrania fortecy. Oddział, prowadzony przez oficera, jechał powoli, z powagą no i z bronią w ręku, przygotowaną do odparcia, w razie potrzeby, zasadzki. Za oddziałem postępowała jakaś zwarta kolumna, nieco bezładnie sformowana... prawdopodobnie piechoty.

Prusacy czekali. Czekali z niecierpliwością. Niechby już się raz wszystko skończyło! Niechby im wolno było nareszcie pójść w pole, gdzie oczy poniosą!...

Nareszcie! O brukowany podjazd u bramy klasztornej zadudniały kopyta. Oficer wysunął się naprzód. Francuscy strzelcy nabite karabinki podnieśli na wysokość ramienia...



— Gdzie broń?!—huknął oficer francuski czystą polszczyzną.

— Tam, w rowach i pod murami!—odezwano się głucho w tłumie prusaków.

— Flageolet! — zakomenderował oficer, wskazując ręką na fosy.

Dwa plutony strzelców odłączyły się i jęły formować łańcuch, zwracając karabiny ku prusakom. Równocześnie prawie w bramie Częstochowy ukazała się gromada najdziwaczniej a najpierwotniej uzbrojonego chłopstwa, prowadzona przez babę siedzącą na koniu.

Oficer strzelców dalej badał:

— Gdzie komendant? Gdzie oficerowie!??

— W klasztorze!—objaśniły usłużne głosy!

— Flageolet *avec moi!* Żubrowa! Tę bandę obstawić kosami, żeby mi tu żadnego harcąpa nie brakło!...

— Według rozkazu!—mruknął jakiś wielki drab.

— Milcz-że, stary! — wrzasnęła baba.—Twoja rzecz słuchać! No, chłopcy,

dalej... wziąć między siebie to tałałajstwo!...

Chłopi na dany znak rzucili się ku rozbrojonym prusakom i otoczyli ich pierścieniem zatkniętych kos.

Oficer strzelców zsiadł z konia i w towarzystwie sierżanta i kilkunastu żołnierzy, prowadzony przez jakiegoś ciurę, wszedł kędy zebrali się pruscy oficerowie.

— Gdzie komendant?!—rzucił ostro przybyły.

— Jestem! — odrzekł wyniośle Wagenfeld.

— A... reszta oficerów?!

— Są tu wszyscy!

— Bardzo dobrze! Kto się z was ruszy z miejsca, ten padnie trupem!...

— Za pozwoleniem!—zaprotestował Wagenfeld, uderzony nieco polszczyzną... francuza.—Zdaje się, iż...

— Niech ci się przestanie zdawać!...

— Jak pan śmiesz przemawiać!!...

— Jak śmiesz? Zaraz się dowiesz! Flageolet! *Quelle chose... tout de suite... comme ça!*—rozkazywał oficer strzelców,



wskazując na migi, że strzelać należy.—  
A teraz... hej!!... Dawać tu postronków  
na tych ptaszków!!...

Do refektarza wbiegło kilku chłopów i zaczęło krępować powrozami najbliżiej stojących.

— Panie! Pan nadużywa swojej władzy! — burzył się Wagenfeld.

— To się pokaże!...

— Prowadź nas pan do marszałka!...

— Do marszałka się ichmościom zachciewa? I owszem! Jak za dwa tygodnie nadjedzie, to może jego pokojowiec przyjdzie was zobaczyć!!...

— Myśmy poddali się cesarzowi!!—  
rzucal się von Miller, widząc, że i jego chcą jak barana związać.

— Cesarzowi?! — przedrzeźniał się oficer.—Hm! No proszę! Nic o tem nie wiedziałem!...

— Pan sobie drwiny robisz! — zapinował surowo pułkownik Freiburg.—  
Wiedz o tem, że odpowiesz za to kiedyś... to jest pogwałcenie praw wojny!...  
Cesarz Napoleon!... nie dla tego wzywał nas do poddania, aby nad bezbronnymi...

— Kto was wzywał?!...

— Przekonaj się pan!... Zobacz, papiery leżą na stole!... Masz pan tam podpisy marszałka i cesarza.

— Oficer strzelców spojrzal na rozłożone papiery i uśmiechnął się drwiąco:

— Leon!?... Takiej mości cesarskiej nie znam!!...

— Może pan porzucisz niewczesne żarty—perswadował Freiburg—i uszanujesz imię swego władcy!!...

Oficer zdawał się nie zważać na słowa pułkownika i z pozorną uwagą przyglądał się papierom—wreszcie zakonkludował surowo:

— Za to, że wazycie się oszukiwać mnie i przedkładać jakąś zamazaną bibułę, pójdziecie pod klucz!...

— Mości oficerze!... Skończ tę komedę. Bacz na pieczęcie!!...

— Prawda!... Poznają właśnie mego własnego zwanygiera... który hula sobie samotnie w mojej kabzie!... Nie wierzycie?... No to patrzcie!!...

Pruscy oficerowie oniemieli na te słowa. Wagenfeld jęknął, przeczuwając



jakieś okropne podejście. Oficer strzelców francuskich rozsiadł się wygodnie za stołem i, wodząc oczami po nawpół już powiązanych jeńcach, zaczął z pogardą:

— Cha wy, tchórze! Nicponie! Syny psie! Przyszło na was! Paśliście się, ładowali cielska i zmora was zdusiła! Wiecie, kogo macie przed sobą! Gadaj stary dudku! Nie wiesz?!... Żubr, powiedz im!...

— Według rozkazu!—mruknął wielki chłop, występując naprzód i oglądając się pomieszany ku drzwiom.

Prusacy poznali w chłopie parlamentarza.

— Mów!—zachęcał oficer strzelców.

— To już bez urazy pana kapitana, ja powiem! — odezwał się basowy głos starej baby, która wsunęła się była ci chaczem.—Bo stary mój do wszystkiego jest zdatny, byle nie do gadania!...

— Kto ja jestem!?...

— Imć pan kapitan Wosiński, trzynastego pułku, korpusu generała Milhaud, idący z podjazdem awangardy pułkownika Deschamps!...

— Dalej!... Nie wiesz! Marszałek Wosin! Cesarz Leon!... *in partibus infidelium*... oczywiście!... Żubrowa! Skład naszej armii!?

— Trzydziestu pięciu strzelców, jeden mistrz kowalski, jeden furyer, dwóch trębaczy, sierżant, jeden czasowo przykomenderowany Żubr... Stary nie rób takiej miny, bo cię trzasnę w gębę! — Jedna markietanka statecznego autamentu, mendel kos, dwie kopy widel, tuzin dragów, dwie baby z kopystkami, gromada pędraków z łuczywem a chrustem!...

— A gdzie marszałek? Gdzie cesarz?!...

Imć pan marszałek jegomość pewnie myśli już wyruszyć z Poznania... a Najjaśniejszy cesarz robi rewiję w Berlinie!...

— Dosyć! — przerwał Wosiński. — Wiecie teraz, tchórze, kto was za łeb trzyma?! Wam się zdawało, że dla ucaipienia takich rycerzów potrzeba armii?!... Że do was będzie się tu sam cesarz facygowal?!... Cha, cha! Widzicie harca-py! Strach ma wielkie oczy!...



Wagenfeld posiniał i zaklął przez zęby.

— Mruczysz stary głąbie!?

— *Verfluchter!* — syknął Miller.

— Taak! Macie ochotę do rozmowy! Zaraz! Żubrowa! Zakorkować mi te gęby!...

— Wedle rozkazu! — ozwał się Żubr.

— Milcz, że na Boga! Bo cię sponuję, jakim Muszyńska z domu!

— No, no! Żubrowa! Nie gniewajcie się... choć mi cały mundur rozepchał, ale to dobry chłop!...

— Rozepchał! — powtórzyła z oburzeniem markietanka. — Stary! Tyś się ważył rozepchać panu kapitanowi?!... Nie uszanowałeś honoru, jaki cię spotkał!??

Żubr ruszył się rozpaczliwie, błagalnie spoglądając na żonę. Wosiński przyszedł mu z pomocą:

— Folgujcie Żubrowa! Toć co on temu winien, że go Pan Bóg dwa razy bez mała tęższym odemnie stworzył?!...

— Prawda, panie kapitanie, ale

zawsze rozepchał oficerską rzecz!... Był całe życie niezdarzony!...

— Ej, ej! — żartował Wosiński. — Coś mi się nie widzi!... Pewnie byście lat tyle z nim nie wędrowali!...

— A któżby tę pokrakę upilnował inaczej!...

— Znam ci ja ten afekt surówki!... Jenowaszemu staremu nie przymawiajcie, bo... ot gdyby go tak zawadziło... nie trudno!...

— Stary! Słyszysz, co pan kapitan mówi?! Ciebie ma zawadzić?!... Ja ci radzę się strzedz, bo... ci chyba ślepie... bym wydrapała!...

Głos markietanki złamał się nagle. Wosiński spostrzegł alterację.

— Dalej do roboty!... Zakorkować tych drabów. Kamasze... te na dworze spętać!... A potem do kościoła i na kolana!...

— Kapitanie! — jęknął błagalnie Wagenfeld — bądź ludzkim, podszedłeś nas... lecz i dla nieprzyjaciela...

— Hm! Tak mi wasze śpiewasz?! No, no! Zobaczymy, jak pułkownik nadjedzie!...



Wosiński, a z nim część strzelców ruszyli do kościoła, odparli zawalone drzwi i weszli.

Kościół Jasnogórski zabrzmiał pieśnią radości i rzewnego dziękczynienia.

Kapitan Wosiński był w swoim żywiole. Sypał rozkazami, jak z rękawa, oglądał mury, liczył armaty, nakazał rewizję pruskich jeńców, zorganizował strażę... wysunął placówki!...

Dzień jeszcze nie zaczęło, a w warowni był ład i porządek, jakby Częstochowa od miesiąca innego komendanta, ani innej nie miała załogi. Skarbiec, choć uszkodzony częściowo, znajdował się na miejscu, oficerowie pruscy byli pod dobrem zamknięciem, piechury a dragoni Fryderyka uwijali się pod strażą okolo porządków.

Lup, zabrany przez Wosińskiego, był obfity a niespodziewany, bo Częstochowa i w amunicję suto była zaopatrzona, i w prowiant i we wszelaki żołnierski dobytek. Koni samych karmnych a tęgich miała coś pięćset, a zapasów różnych bez liku.

Gdy roboty te były ukończone, Wosiński uczuł zmęczenie, lecz, że jakoś nie widziało mu się, żeby tak bez weselszego zakończenia pójść na spoczynek, umizgnął się więc do ojca klucznika o... kropelkę. Ojciec klucznik zakręcił się, poszeptał z gwardyanem, skoczył do przeora i wkrótce w refektarzu na stole ukazał się gąsior węgrzyna. Gąsior krępy, gruboszyi, wydęty a omszały, aż brodaty. Wosiński dotknął go. Płyn ciemny, zawiesisty, zabelkotał raz i drugi i chlupnął tak, że aż się oczy kapitanowi zaśmiały.

— Malmazya zgola!...

— Kapitanie kochanku!—zaśmiał się z cicha ojciec klucznik, mrużąc zlekka oczy i palec wznosząc z powagą do góry.—Nieba byśmy waszeci przychyłili!... Lepiej uraczyć nie możemy!... Dwa takie gąsiory mamy w loszku!...

— Stare? stare?!...

— Co tu długo mówić... szwedzkie kochanku!...

— Gdzieżbym bo śmiał tykać!...

— Nic, nic, kapitanie kochanku!...



Ojciec przeor go ci przysyła!... Pij, niech ci będzie na zdrowie!... A nie chlap... wolniutko lej... każda kropelka ma sto beczek dzisiejszego cienkusa... Wolno... wolno waszmość... bo to nie lada sikacz sztukowany!...

— Ojciec klucznik pozwoli ze mną... kropelkę, kapeczkę!...

— Ehehe! — drożył się ojciec klucznik. — Kusisz wisusie, kapitanie kochanku!... Kusisz!... Czekaj... czekaj... po pacierzach rannych a po mszy... to zobaczymy!... Może który z ojców zajrzy ze mną spróbować tej osobliwości!... Tylko ostrożnie!...

Ojciec klucznik zakręcił się i wyszedł z refektarza. Wosiński zmierzył okiem gąsior i zafrasował się. Czy aby dla wszystkich tego poczęstunku wystarczy!?

Zaczem, chcąc sobie siaką taką zebrać kompanię, w pojedynkę bowiem raczyć się nie umiał, przyzwał obojga Żubrów i Flageoleta, zaprosił ich i nalał. Zapach mocny, aromatyczny, rozszedł się po refektarzu.

Wosiński umaczał usta i dopiero po-

czuł był, jak tęgiego ma przed sobą staruszka.

— Ananas! — szepnął do siebie. — Pijcie!... Pijcie a powoli... bo was zwali!... Jeden kubeczek takiego pradziada to konającego nawet z łoża śmierci podnosi i bodaj na koń sadza... a może... trzeci... żywemu dech odbiera i w pulsach dęba staje!... Flageolet... *comprends?!...*

Sierżant, który oka nie spuszczał ze swego kapitana i patrzył na niego z coraz to większym zachwytem — wyprężył się jak struna:

— *Non — msieur capitaine!...*

— *Non!* — powiadasz?!... No to *bois!* Tylko powoli! Pijcie Żubrowa!...

— Według rozkazu! — odrzekł podoficer legii, zanurzając sumiaste wąsy w kubku.

— Stary! Miejże pomiarkowanie! Wolno!...

— Czekajcie - no! Dowiedzcie się, z kim tu macie do czynienia!...

— Słyszałeś stary, co pan kapitan mówi? Żeby czekać!... Oddaj mi kubek!...

— Jasia!...



— Cicho! Masz, masz! Tylko czekaj!...

— Owóż to jest szwed... czysty szwed!... Flageolet, wiesz co to jest szwed?... *Tu comprends?*...

— *Non!* — *msieur capitaine!* — huknął znów sierżant.

— Więc słuchaj!... Węgrzyn ten pamięta szwedzką potrzebę... kiedy to... *Gustavus*... czy *Adolfus*—ktoby tam znów imię lada najeźdźnika spamiętał — ziemię naszą naszedł i bez mała kraj cały ogarnął, a jedna Częstochowa, za cudownem wdaniem się Bogarodzicy, wstręt mu uczyniła i potędze szwedzkiej się oparła. Ten ci węgrzyn właśnie te pamięta czasy!... Flageolet... *comprends!*?...

— *Non—msieur capitaine!*...

— Pies by się ogonem chyba z tobą rozmówił!... Uważacie zatem, mości dobrodzieju... Było to... temu lat?!... Żubr, powiedz kiedy to było?!...

— Według rozkazu!...

— No gadajże stary! kiedy cię pan kapitan pyta!...

— Według rozkazu! — powtórzył podoficer czerwieniąc się i umilkł.

— Nie powiesz?! Nie wiesz? A to ci dopiero utrapienie z tym chłopem. Pan kapitan go się pyta, a on nie wie! — oburzyła się markietanka.

— No... to wy sami powiedzcie, Żubrowa!...

— Jasia, według rozkazu!...

— Cicho stary!... Nie do ciebie mówią!... Zaraz... kiedy bo nie wiem!...

— Czekajcie! — przerwał z powagą Wosiński, pociągając tęgi haust wina. — To było... uważacie... roku pańskiego!... Tak, było roku pańskiego i koniec!... Flageolet!... Wiesz, kiedy to było!?...

— *Non, msieur capitaine!*...

*Non i non!*... Ciagle mu to jedno chodzi po głowie!... Flageolet!... Ale ci smakuje co?!...

— *Dis* — pomogła Żubrowa — *c'est bon ou mal!*...

— *Excellent—msieur capitaine!*...

— Widzisz koniu Pana Jezusa! — mruzczał Wosiński. — Niech mnie dyabli we-



zmą, jeżeli rozumiem, co ten drab do mnie mówi!... Ale oczy aż mu się śmieją!...A gęba skleja!... No... *bois!*... Bois jeden z drugim... tylko powoli, tak!!

Kubki raz i drugi obeszyły kompanię, rozgrzały i zakręciły w głowach. Żubrowa, która zdążyła już trzy kubki osuszyć, nabrała rezonu. Flageolet po pierwszym kubku spoważniał, a po drugim posmutniał, Żubr wpadł w zadumę, a Wosińskiego senność opanowała.

— Et panie kapitanie! — dowodziła Żubrowa. — Cóż, słaba jestem kobieta i koniec! Słaba i nieszczęśliwa, bo to niby dwoje nas jest... lecz jedna głowa... i jedna gęba! Juści!.. tak, jak oto w tej chwili, taki on zawsze... choćbyś go tłukł, ani słowa... Nie dość jeszcze... jest wcale nie trunkowy, więc gdy się kompania zacna zdarzy... rób co chcesz, pij za siebie i za niego! Choćby i teraz... dwa...

Tu markietanka obejrzała się i z największą zgrozą zobaczyła, jak jej małżonek, przysunawszy nieznacznie swój kubek, chleptał gwałtownie węgrzyna. Baba zerwała się na równe nogi:

— Stary! Rany Boskie! Oddajże!... Chcesz się spać... a ty opoju... taki wstydy...

— Jasia, nie gadaj!...—szepnął stary podoficer, nie wypuszczając z rąk kubka, lecz Żubrowa skoczyła, wyrwała mu naczynie, jednym haustem wysączyła co do kropelki i osunęła się wyczerpana na ławę, pokrzykując:

— Nic z tego! Nie dam ci okazji!... Opój jesteś!... Pijaczyna!... Panie Flageolet! Opój jest!!

— *Excellent — monsieur capitaine!* — jęknął rozczulony sierżant.

— Bodaj was!! — śmiał się Wosiński.—Dalej go!... Hej Żubrowa! Na mury i huknij mi tam z harmat na wiwat!...

— Jasia, według rozkazu!—upomniał żonę podoficer.

— Żywo!... Na mury!!

— Do usług pana kapitana!—Ale ty stary chodź ze mną!...

— Jasia!—protestował Żubr, patrząc z rozpaczą na omszały gąsior.—Nie było rozkazu!...

— Ty rodzonej żonie wypowiadasz



posłuszeństwo! Stary... subordynacya *sacrebleu*, bo jakim Muszyńska z domu... bez sądu polowego zdziele...

Podoficer westchnął głęboko i powlókł się za babą. W refektarzu kapitan z sierżantem zostali sami. Wosiński trząsł się ze śmiechu a pokładał na lawie.

— Flageolet! Tęga!.. *femme*... co?! He?!...

— *Excellent! Monsieur capitaine!*...

— I cóż mi ty wyjesz jedno wkoło!... Gadaj...

— *Excellent monsieur capitaine!*

— Dyabłaś zjadł... pokrako francuska!... Flageolet! Do milion dyabłów!...

— *Excellent... ms... capitaine!*—ryknął sierżant, napróżno usiłując się podnieść z miejsca i uszanować osobę swego zwierzchnika.

Mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Mocował się z samym sobą, chciał rękę do kaszketu przyłożyć, ani rusz. Oczy starego sierżanta łzami zaszyły. Język kręcił się jeszcze w jakimś wirowym

ruchu dookoła swej osi, lecz i on powoli ustawać zaczynał.

Wosiński pobladł. Myśl straszna powstała mu w głowie. Wypowiadają mu posłuszeństwo! Nie słuchają jego rozkazów... bunt... dezorganizacya... zasługująca na najostrzejsze skarcenie...

— Flageolet! — szepnął kapitan, a w głosie jego zadźwięczała i cała nieublagana surowość, na jaką zdobyć się mógł w tej chwili i zawód gorzki, i rozkaz ostry, smutek i rozczarowanie.

— *Excel... capyt!* — wybelkotały posiniałe wargi sierżanta.

— Równocześnie prawie huk armat wstrząsnął murami Częstochowy.

— Prusacy! — mruknął Wosiński, sięgając po rękojeść pałasza.—Chodźcie, tu sam... ja wam pokażę gwardyę narodową!... Flageolet! Tra-ta! Tra-ta!... Czworkami!... Psianogi!... Naprzód!...

Tu ręka Wosińskiego, błędząc, natrafiła na żelazny korkociąg, który był podle gąsiora leżał i zacisnęła się kurczowo niby około głowicy pałasza. I oto nagle Wosiński uczuł się przeniesionym



na plac boju... Na szerokim błoniu, jak okiem sięgnąć, prusacy. Armaty grzmia, ryczą... a on z oddziałem swoim czoło im stawia. Zniósł już i dragonię i dwa pułki huzarów... na polach leżą pokotem ciała zmiażdżonej piechoty... aliści wyjeżdża sam Fryderyk i wyzywa go na rękę. — Po co — mówi — mordy czynić a ludzi tyle psuć lub na tamten świat zgola wyprawiać!... My z sobą, kapitanie, bijmy się... kto zwycięży, tego armia się podda!... Tak mówi Fryderyk! Cha! Kapitan wyzwanie przyjmuje, bo go przyjąć musi... Armaty grzmia! Palasze prysły przy pierwszym zaraz starciu... Szczepili się z Fryderykiem. Mocny szelma!... Lecz Wosiński mu się nie daje!... Wpół go uchwycił i trzyma... Choć się, luter niecnota, wykręca i moce piekielne na odsiecz wzywa, on go wciąż trzyma... i dławi... Naraz cała armia pruska, mimo wszelkie warunki spotkania się, zrywa się ze wzgórza, pędzi i rzuca się na kapitana... Sto tysięcy rąk wpija się w jego ciało, sto tysięcy hóloty odciąga go, tarmosi... a on wciąż

Fryderyka trzyma w garści i już go sobie wydrzeć nie pozwoli...

Wtem ulewa się zrywa i bluzga potokami wody!... Fryderyk zaczyna mu się wyslizgiwać... Jeszcze sekunda walki rozpaczliwej... i... umknął... luter!...

Wosiński otworzył oczy i w osłupieniu zobaczył przed sobą twarz ojca klucznika.

— No... napij się teraz kapitanie kochanku!... Napij się szweda!... Widzisz nie miałeś kalkulacji należytej... Pamiętaj-że sobie... trzy kubki z nóg zwalają a czwarty podnosi!... Żywo!... Bo ogórków na waści!...

Wosiński lyknął raz i drugi i pyrczać zaczął... woda dziurkiem splywała mu po twarzy.

— To ci fatyga była! Cztery kubły wody na głowę! Zamroczyło cię ze wszystkim. Ale! Cóżeś bo sobie upatrzył w tym bucie francuskim, żeś go tak cisnął gwałtownie!?!...

Wosiński spojrział. Tuż przed nim leżał but Flageoleta, podczas gdy sier-



żant, przerzucony bezwładnie przez lawę, dyszał ciężko.

— Darujcie ojcze! — bąknął kapitan zawstydzony.

— Co tam!.. *Nostra culpa...* Żeśmy waszeci nie ostrzegli należycie... Stało się!... Ba i nawet bym cię, kapitanie kochanku, nie cucił tak gwałtownie, gdyby nie ta wściekła baba!... Słyszysz, co ona wyrabia!!?..

Huk armat rozległ się na murach.

— Co to jest?!... Kto to?!...!

— A widzisz!... Nie kto inny, tylko ta baba twoja!!... Lata od harmaty do harmaty... nabija i strzela. Chłopów sobie do pomocy przyzwala... pruskich kanonierów napędziła i straszy nam całą okolicę... ba, od tego trzęsienia aż nam tynki odlatują!... Poszedłem tam, na mury!... Proszę!... Przekładam!... Ani weź!... Kapitan—mówi—kazał... odwołania rozkazu nie było!!... Kobieto—tłomaczę—zastanów się, pókiż tego będzie?...—Póki prochu starczy!!...—Kapitanie kochanku—nie od dziś na świecie żyję, — różne już

widziałem, lecz co takiej baby zaciętej, ani razu!!... O!!... Strzela znow!!...

Wosiński jął co tchu porządkować odzież, aby na mury biedz—gdy do re-fektarza wpadł, jak kula, Żubr.

— Melduję pokornie. Pikieta donosi, że *colonel* z oddziałem się zbliża!...

Wosiński złapał się przerażony za głowę. Wieść o zbliżaniu się prusaków tak by go nie przestraszyła. Deschamps!... Ten stary borsuk... nadchodzi... spostrze-że dezorganizację, rozprzężenie... gotów...

— Flageolet! — huknął Wosiński na sierżanta.

— Ba, ba!... Czekałże kapitanie kochanku!—wmieszał się ojciec klucznik.— Nie tak prędko go się dobudzisz. Pomóż no mi!... Zaraz go tu zoperujemy, że mu piąta klepka powróci.

Wosiński z Żubrem skoczyli do Flageoleta i chlusnęli nań wodą. Ciało sierżanta ledwo drgnęło.

— Zaraz, zaraz! — zrzędził ojciec klucznik. — Szweda mu dać trzeba koniecznie... bez tego nie poradzi!...

Jakoż po drugim łyku twarz sier-



żanta się ożywiła, a oczy wpeł się otwarły.

— *Excellent... msieur capitaine!* — począł belkotać Flageolet. — *Excellent!!...*

— Jeszcze mu świta! — wołał z rozpaczą kapitan. — Ratuj, ojcie kluczniku, bo ta bestya mnie skonfunduje!!...

— Hm!... Ciężka sprawa!... Leb, widocznie, kruchy do picia... Na węgrzy nie się nie zna!... Zimny!... Natrzeć go trzeba octem!!...

Wosiński był w rozpacz. Ten spity, jak bela, sierżant narazi go na *pater noster*... cała zasługa podejścia prusaków przepaść może... pójść na marnel!...

Nagle kapitanowi błysnęła dziwaczna myśl, podsunął się do Flageoleta i huknął mu nad samym uchem:

— *Flageolet! Colonel Deschamps!*...

Ciało sierżanta drgnęło. Oczy otwarły się szeroko.

— *Flageolet!* — krzyknął znów Wosiński. — *L'empeureur!!...* Napoleon!!...

I stała się nagle rzecz nie do wiary. Sierżant wyprężył się, skurczył i powstał z ławy o własnych siłach.

Ojciec klucznik aż się zadziwił.

— Bodajże go... francuza!... A wdziej że but!...

Lecz Flageolet oprzytomniał zupełnie. W oka mgnieniu oporządził się i stanął wyprostowany, oczekując na rozkazy.

Wosiński skinął nań i na Żubra i wybiegł na wały, gdzie garści żołnierzy i tłumowi ciekawego chłopstwa przewodziła markietanka.

— Ognia! Niedolegi!!... Nuże... *sacrebleu!* Nie widzicie, że pan kapitan nadchodzi!... Pal, do milion kroćset!! — grzmiała Żubrowa.

Wosiński przypadł zdyszany do markietanki.

— Żubrowa! Co wy tu wybiacie?!...

— Wszystko w porządku, panie kapitanie! — zaraportowała baba, ocierając okopconą twarz. — Puka się na wiwat, wedle rozkazu!!...

— Do licha! Proch mi marnujecie!...

— Starczy bodaj na tydzień!...

— Dosyc tego! Wam kpinki w gło-



wie, a tu pułkownik nadjeżdża!—oburzył się Wosiński.

— Dosyc tego!... Jeden z drugim, nicponie!—wrzasnęła z kolei markietanka, przyskakując do pruskich kanonierów i pilnujących ich chłopów.—Wam kpiny w głowie, a tu pułkownik nadjeżdża!...

Armaty umilkły. Wosiński coperędzej ustawił swój oddział przy wjeździe przed bramą, chłopów wyciągnął w linię pod przewodem Żubra, a sam z trębaczami i Flageoletem przy boku stanął pośrodku, czekając na ukazanie się Deschamps'a. Ojcowie paulini, dowiedziawszy się o przyjeździe pułkownika francuskiego, uszykowali się w głębi przed kościołem, aby, jak należy, krzyżem a wodą święconą go powitać.

Minęła dobra godzina, a widać nikogo nie było. Kapitan już się zaczął niecierpliwić—gdy naraz, z poza pagórka, wysunęła się gromadka jeźdźców i w pełnym galopie ruszyła pod Jasną Górę. Wosiński oczy przysłonił, lecz dla mgły unoszącej się nic dojrzeć nie mógł. Za Wosińskim jęli wpatrywać się i Fla-

geolet, i Żubrowa, i Żubr, i strzelcy, i chłopci.

W tem z piersi Żubra dobył się przenikliwy okrzyk:

— Jezu!...

Wosiński aż drgnął na siodle. Markietanka chwyciła męża za ramię:

— Gadaj stary! Coś zobaczył?!...

— Co! Co takiego?! — gwałtował Wosiński.

Żubr milczał. Wzrok jego niby przykuty utonął gdzieś w mgłach, ścigając każdy ruch pędzących jeźdźców. Zdało się, że stary legionista jeszcze się waha... jeszcze sobie samemu nie wierzy... aż twarz jego poczerwieniała nagle, pod obwisłą, zmarszczoną powieką ukazała się łza...

— Stary! Bo cię uduszę!...

— Mówże nareszcie!...

Żubr odetchnął głęboko, chwycił całą pierś powietrza i ryknął groźnie.

— Porucznik!!....

— Co? Co ty pleciesz stary!... Patrz lepiej, bo jeżeliś zelgał, to ci ślepie...



— Melduję pokornie, jako porucznik Gotartowski nadjeżdża!...

— Gotartowski! Doskonale! Górą nasza!... Tylko nie porucznik a kapitan!...

— Słyszysz stary! Kapitan!!... Porucznika naszego nie potrafisz uszanować, ciemiego!...

— Bacność!—zakomenderował Wosiński. — *Attention!*!...

— Stać chłopcy!—powtórzyła baba—porucznik... chciałam, powiedzieć... kapitan nadjeżdża!!...

Milczenie zaległo.

Gotartowski, bo on to był istotnie, ukazał się na czele plutonu strzelców. Wpadł jak wichur, osadził konia aż ten zarył się kopytami w oślizgły, wilgotny grunt i, nie postrzegłszy na razie Wosińskiego, ni francuskich mundurów, — rzucił ostro.

— Kto tu dowodzi?!...

— Mości Gotartowskiego sługa i podnózek! — odparł jowialnie Wosiński.

— Waszmość tu! — krzyknął ukontentowany Floryan.—Dzięki Bogu!... Zdało się, żeście przepadli!... Powiadali

nam, że oddział polskich wolontarzy tu obozuje!... A prusacy?... Więc i tu ich nie ma!...

— Owszem, jest tego pod kluczem do tysiąca!...

— Waszmość sobie dworujesz!...

— Ani myśli! Żubr! Ilu jeńca!?...

— Według rozkazu! Jezu! Pan porucznik!...

— Po...porucznik!—zawtórowała mężowi baba.

— Witajcie starzy! To ci niespodzianka!... Czołem waszmości... z powrotem!...

— Gdzie... gdzie waszeć!?—krzyknął z podziwieniem Wosiński.

— Służba! Powrócimy niebawem!...

Wosiński chciał coś odpowiedzieć, chciał o jedno i drugie zapytać Floryana, lecz ten już spiął konia ostrogami. Koń zachnął się, buchnął kłębami pary i pomknął z powrotem. Gotartowski i pluton strzelców znikli.

Wosiński zaklął ciężko:

— Dyabli nadali! Poczciwy chłop ale coś za wielkiego francuza udaje!...



Pali się albo co?!... Nie mówię prusacy... no ale tu wszystko dobrze!...

Kapitanowi w tej chwili stanął na myśli Deschamps i skóra mu ścierpła.

Znów zacznie marudzić! Znów będzie gnać!... I zezować i ruszać szczęka!... I po co się fatyguje! Obeszłoby się bez niego!.. Nie sztuka do gotowego przyjść!...

Im się dłużej zastanawiał Wosiński, tem bardziej buntowała się w nim rogata dusza. Nieomal w złość wpadł, że mu tu taki będzie znów przewodził. Borsuk poprostu i koniec. Nieokrzesany, lekce sobie ważący dawną kapitana szarżę! Najpóspolitszej nie obserwujący grzeczności! Prostak zgoła! Zardzewiała rusznica! Chart a nie człowiek!... Ale... takiego raz trzeba rozumu nauczyć... i rogi mu pokazać!...

— Ja mu pokażę! — szepnął do siebie Wosiński i, nie namyślając się, kazał przedewszystkiem bramę Częstochowy zamknąć, działa narychtować, a strzelcom uszykować się za bramą, niby do wycieczki na nieprzyjaciela. Zaczem, na

podwórzku klasztorzem ustawił jeńców pruskich, a to poczynając od generałów: Wagenfelda i Millera, a kończąc na cyruliku i furyerach. Chłopom pod przewodem: Żubra i Kiciaka nakazał pilnować niewolnika. Armaty powierzył Żubrowej, a sam, mając Flageoleta i trębaczy pod bokiem, zasiadł sobie w refektarzu, niby o żadnym pułkowniku nie myśląc.

Ojcowie paulini również znudzeni próżnem oczekiwaniem, powrócili zwolna do klasztoru. Częstochowa przybrała w jednej chwili swój dawny, obronny charakter. Mury ciężkie, zmurszałe a zahartowane, nad niemi paszcze rozwarte armat, a po nad tem zamczyste zabudowania, wieża wysmukła i krzyż szeroko-ramienny.

Floryan tymczasem zdążył się już połączyć z oddziałem Deschamps'a, czem pułkownika z nielada wywiódł kłopotu, cała jego bowiem wyprawa chybiła celu. Prusaków nigdzie widać nie było. Oddziały szwadronu, jako było umówione, zeszyły się były w Olsztynie.



Wszystkie przyniosły były ze sobą wiadomość o postrzeżeniu placówek pruskich i wszystkie stwierdzały obecność prusaków w Częstochowie. Zaledwie atoli Deschamps zdołał wysłuchać raportów, gdy od strony Częstochowy zahuczały armaty. To go zastanowiło, wyprzewodziło z równowagi. Bitwa jakaś wrzała pod Częstochową, lecz kogo i z kim. Wysłany na zwiady Gotartowski niebawem powrócił z wieścią, że Częstochowę opanowali polacy. Pułkownik wysłał Floryana po raz wtóry, nakazując pośpiech. I wówczas dopiero Gotartowski dotarł do samego klasztoru... Oczywiście, przezorny Floryan, znając potrosze fantazyę Wosińskiego ani słówkiem Deschampsowi nie wspomniał o prusakach, raportując tylko, że kapitan Wosiński znajduje się w Częstochowie, a prusaków nie ma w okolicy. Deschamps prawie ze złością wysłuchał relacyi Floryana. I znow widmo pruskie, które ścigał, za którem się od tyłu dni ugaśniał, rozplynęło się, znikło!!... Sam nie wiedząc, co czynić dalej i gdzie szukać

prusaków, boć tuż, pod bokiem prawie, była granica austriacka, a przekroczyć jej nie wolno mu było, — postanowił zawrócić tymczasowo do Częstochowy, gdzie w końcu mógł się spodziewać lepszego dla siebie i żołnierzy obejścia.

Jakoż oddział ruszył wprost do Jasnej Góry. Któż atoli zdoła sobie wystawić pomieszenie Floryana a żdziwienie „białego“ pułkownika, gdy oto Częstochowę zastano zamkniętą a pogrążoną w głębokiej ciszy. Prócz armat, wystających z poza murów, nikogo widać nie było. Cisza zalegała obronny klasztor. Pułkownik spojrział surowo na Floryana:

— Kapitanie, co to znaczy!?

— Nie wiem!... Nie rozumiem! — odrzekł stropiony Gotartowski. — Coś się stać musiało!...

— Tu chyba nie ma żywej duszy!...

— Niepodobna! Księża paulini muszą być! Pułkownik pozwoli, że każę dać sygnał!...

— Rób pan co chcesz! Przecież tych murów szturmem nie weźmiemy!...

Floryan kazał zatrąbić raz i drugi.



Po długiej pauzie, z głębi murów Częstochoy dobyły się przeciągle dźwięki trąbki, a następnie przed bramą ukazała się wielka głowa w kaszkiecie dra-gońskim.

— Kto taki i czego!? — dał się sły-szeć basowy głos.

Floryanowi się zdawało, że najwy-rażniej Żubrowa mówi, lecz, poczytując to za złudzenie, ozwał się ostro:

— Otwierajcie do kroćset!...

— Komu! Co i jak?! — zapytano z murów.

— Wolać kapitana Wosińskiego!...

— Kapitan Wosiński śniada!... Nie ma czasu!...

— Chćecie, żeby was rozumu na-uczyć!...

— No, jak o rozum chodzi, tylko... to my mamy armaty!...

— Z kimże się dogadać można?!...

— A... coście za jedni?!...

— Nie obcy... jeno swoi!...

— Ba... toć prusacy także swoich udają!...

Deschamps, przysłuchując się tej dłu-

giej a niezrozumiałej dlań konferencyi, wargi zagryzł a iskrami z ocz sypał. Głos na murach ciągnął tymczasem obojętnie;

— No... powiem wam krótko!... Albo mi się w tej chwili należycie spre-zentujecie, albo każę wam plunąć z ar-mat, a zobaczymy, ilu was zostanie!...

— Do licha! Cóż bo sobie myśli-cie... W tej chwili zawiadomić kapitana Wosińskiego, że pułkownik Deschamps przybywa!...

— Jasia! Nie wytrzymam!—rozległ się inny głos za bramą.

— Milcz stary!—odrzekł bas, a zwracając się do Gotartowskiego, zakonklu-dował obojętnie.—Kapitan Wosiński go-ści nie przyjmuje!...

Floryana złość jęła porywać. De-schamps toczył koniem i wykrzykiwał do Floryana:

— Co to jest! Co to znaczy?!...

— Więc nie otworzycie?!...

— Obcym się nie otwiera! Mówcie coście za jedni!...

— Poczekajcie! Sprawię ja wam!...



Nie widzicie... strzelcy cesarza francuzów...  
Podjazd awangardy generała Milhaud  
korpusu marszałka Davoust!!...

— Wiwat!! — odpowiedziano z murów.—Czegoście *sacrebleu*... od razu od tego nie zaczęli...

Głowa na murach znikła. A po chwili za bramą dały się słyszeć dźwięki trąbki, za trąbkami ozwały się dzwony klasztorne i przeciągłe okrzyki. Floryan mało się nie skręcił. Wreszcie bramę otwarto. Deschamps spojrział w głąb i aż konia zdarł na widok, który się jego oczom przedstawił. Na podwórcu stali w szeregach jeńcy pruscy, dozorowani przez chłopstwo uzbrojone w pruskie karabiny a halabardy, w głębi ojcowie paulini ze światłem a krzyżem. Od refektarza kompania strzelców z Flageoletem, a po środku, niby twierdzy dowódca, kapitan Wosiński. Żubr i Żubrowa byli na murach.

Deschamps wjechał w podwórzec ze wzrokiem wyteżonym z podziwu.

Równocześnie prawie zagrzmiały bębny, a Żubrowa, przejęta do głębi swem

stanowiskiem na murach, wrzasnęła do Wosińskiego:

— Panie kapitanie! 'Puknę... chyba!?!...

— Puknij! — przyzwolił Wosiński.

W oka mgnieniu zatliły się lonty i huknęły działa, a z piersi załogi częstochowskiej dobyły się przeciągłe a pełne zapалу okrzyki.

Biały pułkownik zaskoczony niespodziewanem przyjęciem udobruchał się nieco, lecz ciągle nie mogąc się zorientować w sytuacji, ile, że dookoła widział pruskie harcapy a kamasze, wezwał Wosińskiego przez Floryana do raportu. Wosiński stawiał się pełen kawalerskiej fantazyi a pewności siebie, opowiadając szczegółowo, jako był prusaków podszedł, a jak im strachu napędził rozległością obozowiska. A gdy następnie jał wykladać Deschampsowi treść prowadzonych z Wagenfeldem pertraktacyj,—biały pułkownik tak się groźnie namarszczył, że aż Floryan, tłumaczący słowa kapitana, uląkł się. Gotartowski umilkł. Deschamps oczyma lypał i parskął. Wo-



siński nie mógł dłużej wytrzymać i szepnął półgłosem do Floryana:

— Nosaciznę ma zgola! Czego tak ślepie wybałusza! Monstrum jestem albo li taka, jako on pokraka!?!...

Gotartowski chciał napomnieć Wosińskiego, lecz Deschamps zbliżył się do kapitana i syknął przez zęby:

— *Mais tu es brave!... Tu es brave capitaine!!...*

— Co—co on mamrocze?!...

— Żeś waszmość dobrze się spisał!...

— No, żeby tyle tylko powiedzieć, to się niepotrzebnie trudził!... A czegoż tak gębę wykrzywia!?!...

Deschamps zaraz się był zebrał oglądać Częstochowę, oprowadzany przez Wosińskiego i Floryana. Im lepiej poznawał mury a wały obronnego klasztoru, im bliżej przejrzał te wielkie zapasy amunicji i prowiantu, nagromadzone przez prusaków, a zobaczył ten tłum jeńców, z których każdy starczyć by mógł za trzech jego strzelców,—tem ze wzrastającym zachwytem spoglądał na Wosińskiego. Co prawda zachwyty ten

pulkownika trudnym był do odgadnięcia, ile że krzaczaste jego brwi zsuwały się coraz groźniej, a i tak już pomarszczona twarz kurczyła w grube, niekształtne faldy.

Gdy następnie w obchodzie swoim trafił Deschamps na izbę, w której, po wjeździe pulkownika, osadzono znów powiązanych pruskich oficerów, Wagenfeld wystąpił natychmiast ze skargami na Wosińskiego, przedstawiając Deschampsovi łamaną francuzczyzną, jako ich kapitan podszedł, a jako praw wojennych nadużył...

Deschamps za całą odpowiedź wrzucił pogardliwie ramionami. Wagenfeld nie ustawał w przedstawieniach i żądaniach, aby mu wolno było opuścić z żołnierzami Częstochowę, biały pulkownik atoli wskazał mu Wosińskiego.

— Jemuście się poddali — jego proście!... Mnie nic do tego!... To jest wasz komendant!...

Deschamps zarządził kilkodniowy wypoczynek w Częstochowie, ponieważ misja jego właściwie już ukończoną była.



Armia pruska cofała się za Wisłę, pod skrzydłami Benigsena szukając ratunku i punktu oparcia. Biały pułkownik wysłał więc wiadomości do Milhauda, prosząc o dalsze rozkazy i czekał.

Postój w Częstochowie był bardzo całemu szwadronowi po myśli. Zarówno oficerowie jak i żołnierze byli wyczerpani tym gwałtownym marszem. Dechamps komendę całą zdał na Wosińskiego, czem kapitana w świetny wprowadził humor.

Wosiński zajął się gorliwie garnizowaniem Częstochowy i sformowaniem załogi, na wypadek, gdyby Deschamps musiał wyciągnąć w pole. Więc w tym celu rozesłał wici w okolice, wzywając szlachtę, aby śpieszyła zaciągać się w szeregi ochotników, a tymczasem zebrawszy gromadkę parobków, którym wojaczka uśmiechać się zaczęła, odbywał z nimi ćwiczenia a musztry, w czem stary Żubr dzielnie mu pomagał. Rannego Levitoux przewieziono z Grabówki i oddano pod opiekę doświadczonego ojca klucznika, pruskich żołnierzy napędzono do

naprawy wałów a murów. A że okolica Częstochowy, jak zresztą i kraj cały, był onem smolnem łuczywem, na które dość iskry jednej, by rozgorzała płomieniem, przeto ledwie posły z wezwaniami Wosińskiego wyciągnęły, już na drodze do Częstochowy ukazywać się zaczęli młodzieńcy zbrojni, dawni żołnierze, zwabieni zapachem prochu, szlachta, mieszczaństwo, ba nieledwie wyrostki, dzieci prawie. Zaroily się nagle podwórza klasztorne od zbrojnego mrowia. Wosiński każdego opatrywał sam, formował dziesiątki a setki, wyznaczał instruktorów, kwaterował, jak mógł i kłopotał się o uzbrojenie, o mundurowanie ochotnika. Wielką w tym razie pomoc okazał mu skarbczyk pruski, odjęty Wagenfeldowi i broń pruska. Oficerowie Fryderyka aż własne pięści sobie ogryzali, widząc, jak to każdy patrontasz, każdy rzemień się tu przydawał. Lecz alteracya ich dopiero na dobre wybuchła, gdy pewnego poranku w izbie ich zjawił się Wosiński z trzema pacholkami, niosącemi chłopskie kapoty i samodzia-



lowe włościańskie hajdawery i rozkazał krótko:

— Mospanowie oficerzy! Proszę się rozdziewać!...

— Co?! Jakto?! Dlaczego!! — zawołali prusacy.

— Dla czego! Hm! Bo mi potrzeba mundurów!... Dalej, bo nie ma czasu!!...

— To przemoc! To gwałt!!—rzucił się generał von Miller.

— To... to... niegodne!—protestował Wagenfeld.

— Mospanowie, nie psujcie sobie krwi na próżno, bo to nic a nic wam nie pomoże... Rozbierać się i basta!...

— Ależ, panie kapitanie!—próbował tłumaczyć rotmistrz von Kasten. — Tak postępować się nie godzi... nawet z jeńcami!...

— Nie godzi się?!...

— Oczywiście! Zemsta niegodna oficera i polaka!...

— Polaka! — odparł ironicznie Wośński. — Zachciało wam się nareszcie polskiej wspaniałomyślności?!... Nie ma

o czym mówić! Zemsty tu żadnej nie ma. Wyście z nas skórę zdzierali... a my wam tylko mundury zabieramy i to z potrzeby!... Rozdziewać się!... Myślałem sam, że mi paradnych waszych starczy... no, ale kiedy siła wolentarzy się ciuła!... Nic, nic! Waszmościn fraček, generale Wagenfeld, będzie akurat dla Pietrka Sroki!...

Wagenfeld splunął ze złością.

— Nie chmurz się waćpan! Srokę się uszanuje, bo to chłop sprawny!... Więc naszyje mu się amarantu, kokardę francuzką przyczepi i pies kulawy nie pozna, że w nim pruski generał chodził! Żywo! Żywo! Bo wam te zuchy pomogą! A kortu szkoda!!... A i pluderki także! Koniecznie! Musi forma być, nie ma rady!... Dobrze, dobrze! Krzywdy waszej nikt tu nie chce. Dostaniecie na ziąb nadchodzący okrybiedy zacne! Po jednej świcie nowej i pasiatych hajdawerkach.

Oficerowie pruscy, klnąc, zmieniali odzież swą na chłopskie sukmany. Gdy się owo przebieranie skończyło a spoj-



rzeli po sobie, mimo gniewu, wybuchnęli śmiechem. Wosiński śmiał się z nimi z całej duszy, ile że istotnie wygolone twarze oficerów w czapach baranich a sukmanach, na które zwieszały się białe harcapy, uciesznie wyglądały.

— Tak to lubię, mospanowie, wesoło i już! Wojnę żeście zaczęli—wojnę macie! A pamiętajcie, że krzywem okiem ani żółcią ze mną nie poradzi! To i po krzyku! Harcapów waszych już wam nie ruszę, bo nasz żołnierz nie włożyłby tego na głowę, czem lada wałach muchy za sobą opędza! Rozumiecie!?... A jak się mundury wasze wyszykują a obszlegi zmieniają, to was zaproszę na oględziny!...

— *Verfluchter!*—mruknął pod nosem Wagenfeld.

— Jeszcze generał się surzy!?! Ale, dalipan, umityguj się waszmość!... Pietrek Sroka jakby ulany do waścinego fraczka!...

— Chyba teraz moglibyście nam dać spokój — zagaił pojednawczo von Mil-

ler. — Pozwólcieź nam odejść w końcu!... Zabraliście broń, odzież nawet...

— Właśnie w tem sęk! Że teraz ani bym się ważył takiego wam despektu czynić... Imaginujcie sami mospanowie!... Cóżby wasza prusacka mość powiedział, gdyby tak ujrzał was po chłopsku przebranych, zdrowych, całych i ledwie strachem nieco sfatygowanych?... He!!... Gotówby takich generalów do skrobania kartofli zasadzić... podczas gdy tutaj siedzicie sobie syci!!... No, a nareszcie i tu się dla was niejaki *labor* najdzie!... Roboty huk się gromadzi, pulki będą się formowały... Rozmaitego ludu potrzeba. A słuszna rzecz, abyście, mospanowie, już do końca w swych trudach a bohaterstwie wytrwali i w rozprawieniu się z Frycem nam pomogli!..

Prusacy spojrzeli po sobie ponuro i umilkli zawstydzeni.

Wosiński czasu nie tracił. Prawił bo prawil, perorował bo perorował, ale i w pracy nie ustawał. Od świtu do późnej nocy usta mu się nie zamykały, tak, że aż to podziw obudziło w Żu-



browej, która wobec Wosińskiego języka niekiedy zapominała.

Deschamps do rozporządzeń kapitana wcale się nie mieszał, niekiedy ledwie zapytywał poufnie Floryana:

— Cóż ten krzykacz polski dziś wymyślił nowego?!...

— Pruskie mundury przerabia!...

— No, no! I cóż więcej?...

— Założył kancelaryę... ustanowił intendenta...

— Może tę babę?!...

— Nie!... panie pułkowniku!...

— Nic! Baba z kamienia! Takich więcej bab, a można by świat zawojsować!... A paszę, żywność ma?!...

— Chyba na parę lat! Aż dziwką ją bierze!... Koni pomieścić już nie może!...

— Stary urwis!...

— Może pan pułkownik każe go wezwać?!

— Nic! Nie moja rzecz! On zdobył, on komenderuje!...

I komenderował kapitan a komenderował najwięcej Flageoletem, który

dziwnie przypadł mu do gustu. Z drugiej strony, sierżant patrzył w Wosińskiego jak w obraz, starając się każdą myśl jego odgadnąć, każde życzenie uprzedzić. A że kapitan osłuchiwał się dosyć francuzczyzny, a znów sierżant niejednym wyraz polski zapamiętał, więc porozumiewali się doskonale.

Naprzykład, przed udaniem się na spoczynek, Wosiński odbywał krótką konferencyę z sierżantem:

— Flageolet!

— Pan *capitaine*?!

— Placówki rozstawione!?

— Plasówki? Już... pan *capitaine*!

— Przyjechał kto wieczorem!? *Les volontaires*?! *Soir*!!?

— *Oui*! pan *capitaine ci*!

— Jakie „*ci*”? Trzech pewno?!...

— *Oui* „*ciech*!...”

— Wino lubisz?!...

— Lubisz—pan *capitaine*!...

— Mówi się lu-bię!...

— *Loup*! *Bien*! — szeptał skonfundowany sierżant, nie mogąc wyrozumieć, co ma wilk z winem za związek.



Wosiński spostrzegł zwykle, że jakieś nieporozumienie się zakradło i napominał:

— Flageolet! Słuchaj uchem, a nie brzuchem! Wyrządów na swój ład nie przekraczaj!... A pamiętasz, jak się po polsku nazywałeś!...

— *Oui*—pan *capitaine!*... *Pisciala!*...

— Piszczala!—powiedziałem raz! No! Na lewo zwrot! w tył... marsz!... spać!... Idź do dyabła! Nie zapomniałeś, jak się po francuzku mówi: „idź do dyabła!?”

— *Non*—pan *capitaine!* *Bonne nuit!*...

— Właśnie? Zgadłeś! Dostyc konfidencyi... *Allez!*...

W tydzień coś, późną nocą, wpadł do klasztoru kuryer od generała Milhaud z rozkazami. Strzelcy poruszyli się co do jednego...

— Wiadomości, — nowiny... od naszych!!...—szeptano sobie dookoła.

Deschamps zajął się natychmiast rozpatrywaniem papierów. Wosiński, Floryan i oficerowie francuzcy, wzięli kuryera na spytki. Wieści były skąpe, choć pomyślne. Łęczyca opanowana, prusacy

na całej linii ścigani, placówki armii Benigsena wysunięte aż pod Łowicz, zwinęte, przeszły Wisłę i stoją pod Warszawą. Pochód całej armii rozpoczęty. Cesarz bawi w Poznaniu, przyjmowany jak zbawca przez ludność.

Kapitan Douharai chciał dalej badać kuryera, lecz ordynans pułkownika dał znać, że Deschamps natychmiast wzywa do siebie oficerów. Porwano się do szabel, pasów i czapek, założono temblaki. Jeden oficer drugiego zlustrował szybko, iżali wszystko w porządku i ruszono do pułkownika.

Deschamps stał już gotowy, jak do pochodu.

Oficerowie francuscy spojrzeli znacząco po sobie.

Wosiński szepnął kwaśno do Floryana:

— No, tylko patrzeć, a ten biały borsuk na pole nas wypędzi!...

Deschamps spojrział surowo na Wosińskiego i uciał krótko:

— *Monsieur Wosiński!*...

Kapitan wyprostował się jak struna



— *Monsieur Wosiński!*—odezwał się po raz drugi pułkownik, marszcząc się coraz groźniej. — Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy pan, w uznaniu położonych przezeń zasług... raczył pana mianować majorem francuskim i komendantem fortecy w Częstochowie!... Pozwól pan sobie powinszować tego zaszczytu!...

Między oficerami powstał szmer zadowolonia. Wosiński tylko patrzył z podziwem na Deschamps'a nie wiedząc, o co idzie.

Pułkownik wyciągnął doń rękę. Floryan szepnął mu nad uchem:

— Podajże waćpan także i podziękuj!...

Wosiński podał rękę. Deschamps chwycił ją i ścisnął, aż kości Wosińskiemu zatrzęszczały. Kapitan posiniał i syknął przez zęby:

— A bodajcie!...

— Panie Gotartowski, zechciej objaśnić pana majora! — rzucił pułkownik.

Floryan przetłomaczył słowa Deschamps'a. Wosiński poczerwieniał, nogi się pod nim zatrzęśły.

— Niechże was!—mruczał.—Francuzi!... Toście mnie chwycili!... Już ci chyba... zdechnę gdzie dla was!... Mości Deschampie... *ma parole!*... *Vive l'empereur!*... Do milion dyabłów... Mówisz... sam Napoleon o mnie pamiętał?!... Drwiny chyba!... Major... komendant!... Nie!... Widzę panie... *kolonel*, że... żeście dobre chłopy... porządne chłopy!... Miałem was za... hołotkę, za boćwinkarzy... ale... ale... moćpanowie!... Co tam... daj drogi *kolonelu* pyska!!

I za nim oficerowie zdołali zoryentować się, co żywa gestykulacja nowo mianowanego majora znaczy, ten już rzucił się na pułkownika i ścisnął go a całował z całego serca — wołając:

— *Vive l'empereur! Vive la France!* Górą nasza! Niech żyje Imć... *Monsieur... Deschamps!* Hurra!!

Oficerowie francuzcy oniemieli, działo się w oczach ich coś, o czem karność ich nie mogła pomyśleć, czego sobie nie mogła wyobrazić!... Floryan stał oniemiały, skonfundowany wybuchem swego kolegi, sam nie wiedząc, co mu począć wypada.



A Deschamps, Deschamps w pierwszej chwili pod ciężarem Wosińskiego — zatrząsł się, zachwiał, — potem błysnął ponuro oczyma i zdawało się, że schwyci majora i rzuci nim o ziemię, aż nagle, spojrzawszy w jasną, pogodną, a wzruszoną do głębi, twarz Wosińskiego... drgnął, i przycisnął go do swej wyschłej piersi...

W jednej chwili przykład Deschamps'a porwał, uniósł wszystkich. Wosiński rzucił się z kolei do kapitana Douharai, Floryan całował się z Martinem i znów Deschamps z Gotartowskim, a Martin z Wosińskim, potem dwaj francuzi z trzecim i dwaj polacy ze sobą. Zapanaowało ciepło, serdeczność, braterstwo prawie.

Pierwszy przerwał ten nastrój Deschamps.

— Panowie! Musimy ruszać dalej, ile, że generał Mihaud życzy sobie, abyśmy się z nim złączyli przed jego dotarciem do Warszawy. Droga daleka! Chwili czasu stracić nie możemy... Naturalnie, rozkaz nie dotyczy majora Wo-

sińskiego, który, jako komendant, otrzymał oddzielną instrukcję... i nadal wprost będzie się znosił z kancelaryą sztabu... Kapitanie Douharai, każ trąbić wsiadającego. Panowie, czekam na was!...

Oficerowie ruszyli do swoich kompanii. Wśród nocy rozległy się krótkie, żalosne dźwięki trąbki. W godzinę strzelcy byli gotowi do wymarszu.

Wosiński oszołomiony nową godnością i stanowiskiem, chodził tymczasem za Floryanem i z żalem patrzył, jak ten szykował się pośpiesznie do drogi.

— Et! Mości Gotartowski... żal mi was do licha!.. Psi czas!... Mrzy na dworze... wichura... śniegu lada dzień spodziewać się należy, a tu jechać!... Miał ci Cesarz rację, że sobie w porę moją mizerną osobę przypomniał, bo już by mnie alteracja załapała, gdyby mi tak przyszło teraz ztąd wyciągać! chociaż... uważa Waszmość, dalipan i was żegnać mi nie sporo, nie sporo!... I ten *kolonel* także sobie niczego! Sercowy człek! Ma nieco dzikie narowy i na polityce szwankuje... ale zacny!...



Floryan nie bardzo zwracał uwagę na wynurzenia majora. Myśl, że niezadługo stanie w Warszawie, takim weselem go napęliła, iż mu się żale Wosińskiego aż niewłaściwymi wydały.

Deschamps tymczasem dyktował ostatnie rozporządzenia. Więc będący na wyzdrowieniu Levitoux został pozostawiony Wosińskiemu do pomocy wraz z kompanią strzelców. Deschamps atoli miast tej kompanii, która dotąd z Flageoletem była pod rozkazami Wosińskiego, wyznaczył inną, czem nie pomalutko majora zmartwił a nawet do żywego poruszył.

W ostatniej prawie chwili, Wosiński uczepił się Floryana:

— Słyszalesz waćpan, *kolonel* zabiera mi Flageoleta!...

— Słyszałem!...

— I cóż waszmość na to!...

— Hm!... Rozkaz...

— Rozkaz! Ładny mi rozkaz! Niechby go wymówić nie mógł! Co mi po takim rozkazie!...

— I cóż ja właściwie poradzę!? — uciął zniecierpliwiony Gotartowski.

— No... to bierz licho cały awans i całą komendanturę! — rozgorączkował się Wosiński.—Rzucam wszystko i wracam!... Mnie co z tej służby!... Kawałek ziemi człowiek ma i wiele nie potrzebuje, to mu wystarczy!...

— Co?! co waszmość!... Zważ na słowa!... Gdyby tak wszyscy chcieli robić, to gdzie byłby ład!?...

— Ład! Ład!... Co mi z niego! Kiedy ci jeden sierżant był w całym szwadronie, siaki dorzecznym, z którym się rozmówić mogłem, to dają mi akurat drugiego! Waszmość to nazywasz wszystko ładem!...

— Ależ bo — przekładał Floryan.—Nieszczęście się nie stało!... Kto wie!... Pułkownik bardzo dla waszmości laskaw... Można by mu przedstawić, poprosić! Nie myślę, aby miał coś szczególnego w tem, żeby Flageoleta zabierać!...

— Co waszmość?... No to chodźmy!... idźmy zaraz do niego! — nalegał Wosiński—trzeba mu to wyklarować na-



leżycie, a waszmość to potrafisz, podczas gdy ja się z nim nie dogadam!...

Floryan, ulegając prośbie, zwrócił się do Deschamps'a z przedstawieniem. Biały pułkownik skinął przyzwalająco głową.

W godzinę potem Wosiński był już pełnym komendantem Częstochowy i największą na okolicę osobą!... Pochlebialo to wielce bujnej ambicyi majora i niekłamane sprawiało mu zadowolenie.

Po wyciągnięciu oddziału Deschamps'a, komendant Częstochowy—rozsiadł się w swej stancyi przed kominkiem i polecił wezwać do siebie Flageoleta.

Sierżant stawił się w pełnym uniformie i zatrzymał się z uszanowaniem przy drzwiach. Wosiński spojrział nań z ukontentowaniem i mrugnął nieznacznie.

— No... co? Piszczalo? He?!... Krzywdą ci, żeś na harce nie poszedł ze szwadronem?!... Gadaj?...

— *Comprend pas!*... pan... *commandant!*...

— Znow swoje pleciesz!?!... Do licha!

czas wielki, żeby ci się język w drugą stronę wykręcił i po ludzku chadzać zaczął!...

— *Comprend pas!*... pan *commandant!*...

— *Silence!*... Rozumiesz!?!... Nie pytam ci się! — zniecierpliwil się Wosiński, a po chwili dodał z powagą:—*Flageolet! Quand tu ne comprends... dis oui!!... Comprends?...*

— *Oui!*... pan *commandant!*...

— Właśnie!... O to chodzi!... Bardzo dobrze!... Powoli, a przy Bożej pomocy jeszcze z francuza na człowieka wyjdiesz!... Zobaczysz... Ja ci to mówię!...

— *Oui!*—pan *commandant!*...

— Ja myślę!... Nie odrazu Kraków zbudowany!... No, ale nas robota czeka nie łąda, bo to ludu ciuła się co nie miara... Trzeba będzie co rychlej, jako mówił kapitan Gotartowski, raport siarczysty do generalności francuskiej wystosować, niech nam dla wolontarzy ujście najdzie, bo nas tu do cna zjedzą!... Wigor duży, ale bo apetyty a gęby tęgie!... A przecież objadać klasztoru



i Najświętszej Panienci nam się nie godził!...

— *Oui* — pan *commandant!*...

— No widzisz!... Zdaje ci się, Piszczakło, że niby to trudno polskiej mowy się nauczyć?... Ot, już zaczynasz wcale do rzeczy mówić!...

— *Oui* — pan *commandant!* — huknął znów sierżant.

— Ciągłe „lój“ masz we łbie!... Nie szkodzi!... Przyjdzie czas, że ci się i na olej zbierze!... Cóż, mumio!... Marzyło ci się, że w tak zacnym regimencie służyć będziesz!... He!...

— *Oui!*... pan *commandant!*...

— Zkądże znowu!... Franta chcesz udawać?... Tego nie lubię!...

— *Oui!*...

— Jak wiesz, że mi to nie w smak... to po drugi raz tego mi nie mów! Słyszalesz? Patrzże teraz komu służysz! Wszak ci to nie masz pono równie poważnego znaku na świecie! Niby Napoleon ma rozmaite srogie a pstrokate gwardye... lecz tu, mości panie, jesteś sobie bez mała sierżantem Bogarodzicy!...

— *Ôui!*... pan *commandant!*...

— Rad z ciebie jestem! Dobrze ci z oczu patrzy! Można z tobą wytrzymać!... Jeszcze parę tygodni... i zupełnie przemówisz! Może i ślepiami przewracać przestaniesz!... No... dosyć tego!... Bo i tej konfidencyi byłoby za wiele... Wynos się!...

Flageolet się nie ruszał.

— Idź do dyabła!...

— *Oui* — pan *commandant!*...

— Rusz-że się z miejsca!...

— *Oui* pan *comm.*...

— Będziesz ty mi lójował jeszcze!...

— *Oui!* — odpowiadał wciąż sierżant.

— Bodajżeś się udławił! A to skaranie... istne! Zachciało mi się tego błazna mieć przy sobie — mam ci teraz nagrodę, miamle i miamle aż uszy bolą!... *Dormir!*... *Sacrèbleu!*...

Flageolet się poruszył z miejsca i jął co tchu szykować Wosińskiemu posłanie.

Wosiński się udobruchał i mruknął do siebie pod nosem:

— Ma, szelma racye! Człowiekowi się oczy do snu kleją! Pewnie, że się



układę... zaraz! Nie długo już i północ... Jaki on sprawny, patrzcie, niczem pacholik, albo stara piastunka!... Filut stary!...

Wosiński, nic nie mówiąc, jął się rozdziewać powoli i układać do snu. Flageolet mu pomagał. Komendant rozprawiał dalej:

— Dobrze! Dobrze! Kaducznie mnie senność morzy!... Ładnie bym wyglądał, żeby mi tak teraz przyszło tłuc się po nocy ze szwadronem!... Ten cały wasz *kolonel* to postrzeleniec wielki... Noc nie noc... deszcz nie deszcz, pluchota... a wędrowałby po całym świecie, niczem pokutująca dusza. Ja tam tego nie lubię, mam się bić, mam ścigać kogo... to po dniu... a nie po nocy!... Bom nie kot żaden, ani opętaniec czy niby lunatyk!... Widzisz! Tobie stary też ciepło będzie... A!... Jak się człek tak wyciągnie spokojnie... to mu i na sercu lepiej... Aa!... Flageolet!... A ty także nie bałamuć... i wynoś się do swego barloga... a obacz, żeby mi... tego... szyldwachy na miejscu!...

— *Oui!* pan—*commandant!*...

— Czekaj! Jutro od rana wezmę cię na naukę, już się nie bój... ten cały loj... ci wylezie... Sałaty także nie dostaniesz... ani listeczka!... Bo, juści, rozum z niej nijakiego pożywienia nie ma!... Aa!!

Wosiński ziewnął przeraźliwie raz i drugi, przeciągnął się raz jeszcze, podniósł powieki i chrapnął mocno.

Flageolet przez czas jakiś stał przy posłaniu Wosińskiego, czekając jakby rozkazu. Postrzegłszy w końcu, że komendant śpi już na dobre, podsunął się ostrożnie do ławy, na której leżała odzież Wosińskiego a broń, zgarnął ją delikatnie i wyniósł do sąsiedniej izby. Tam przy świetle lojówki zasiadł do porządkowania munduru i czyszczenia rzemieni a broni.

Nie lada była robota. Flageolet jednak był majstrem w tej robocie i służbiwą wielkim. Co by znów pierwszy lepszy pacholek czy żołdak miał się dotykać mundura komendanta!... Czy by potrafił nawet tak jak on, na każdy guzik nakładać kolejno drewniane, wycięte



we środku deszczulki, a potem czyścić je sukniem tak długo, aż nie dadzą lustru odpowiadającego i randze majora i stanowisku komendanta. Albo rzemień pucować, a głównie dopucować się giętkości, glansu, usunąć najdrobniejsze zarysowanie skóry, najłżejszy meszek.

Flageolet pracował bez wytchnienia ze dwie godziny. Gdy w końcu rzucił okiem na równo poskładaną odzież a lśniąca broń, niby od płatnerza prosto, aż mu się oczy zaśmiały:

— *C'est foli! Ça!* — szepnął do siebie ze szczerą radością.

Zaczem znów ukradkiem wsunął się do izby, w której spoczywał Wosiński, ułożył starannie przy łóżu odzież i broń i zatrzymał się patrząc z jakimś wielkiem uszanowaniem na śpiącego komendanta. Wosiński chrapnął głośno.

— Spi sobie!...

W tem usta komendanta wymówiły wpółsenne:

— Flageolet!...

— Śni! Śni! O mnie! — ozwał się

cicho rozczulony sierżant. — Mój... mój... komendant!...

Ręka Wosińskiego wykonała w tej chwili jakiś senny odruch i zwiesiła się bezwładnie poza krawędź posłania.

Flageolet przysunął się bliżej do komendanta, jakby wahając się, wreszcie zebrał odwagę... pochylił się i przyłożył usta do ręki Wosińskiego.